



Nina Harrington



Wspaniałe wesele

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Amy Edler zwijała się jak w ukropie. Z telefonem przyciśniętym do ucha załatwiała dziesiątki spraw. Niezależnie od tego dwie dziewczynki domagały się jej uwagi, w cukierni tłoczyli się klienci, a klimatyzacja w najgorętszy dzień czerwca zaczęła nawalać.

To Trixi wpadła na genialny pomysł, by dziewczynki pokryły lukrem czekoladowe babeczki przeznaczone dla koleżanek z domu dziecka.

Ale, na miłość boską, to są jedenastolatki! Wyższa patrzyła ze łzami w oczach na czekoladowy lukier spływający na papierową foremkę. Dolna warga jej drżała.

Amy usiłowała dać znać na migi swojej pomocnicy, że jest potrzebna. Bez powodzenia. Trixi gawędziła z klientem. No trudno; rozmowa telefoniczna musi poczekać.

- Babeczki jeszcze nie ostygły, dlatego lukier spłynął - rzekła do dziewczynki. - Ale wyglądają na pyszne. I pięknie lśnią.

Dziewczynka uśmiechnęła się z wdzięcznością, za to nosem pociągnęła jej koleżankę, która swoją babeczkę przystroiła dwoma kawałkami zbitej brązowej masy, a to dlatego, że lukier nieopatrznie umieściła w zamrażarce.

Amy błyskawicznie rozwiązała problem: wstawiła talerzyk na dwadzieścia sekund do mikrofalówki.

- O rany - szepnęło uradowane dziecko.

- Prawda, że są idealne? - Amy pokręciła głową. - Niestety przez ten upał nie umiem ocenić, która jest najładniejsza. Ale następnym razem... Bo odwiedzić mnie jeszcze? Tak? No to wspaniale. A teraz lećcie umyć ręczki, a ja wszystkiego dopilnuję.

Dziewczynki wykonały polecenie, a potem dołączyły do swoich przyjaciółek. Sala obok rozbrzmiewała śmiechem.

Właśnie tak Amy wyobrażała sobie przyszłość: cukiernia, wypieki, gromadka szczęśliwych dzieciaków. Miała nadzieję, że wkrótce spełni się jej marzenie.

Chciała zaofiarować jakiemuś dziecku prawdziwy dom. Najpierw jednak musi udowodnić komisji adopcyjnej, że potrafi być odpowiedzialną matką.

Przestań bujać w obłokach, skarciła się w duchu. Był piątek, szósta po południu. Został jeszcze jeden problem. Teoretycznie nie powinna się martwić. Jej przyjaciółka

Lucy Shaw wynajęła najlepszą w Londynie organizatorkę ślubów. Szkoda tylko, że od kilku dni kobieta nie odbiera telefonu.

- Dobry wieczór, Clarisso - rzekła Amy, nagrywając się na sekretarkę. - Tu Amy Edler z cukierni Edlers. Przepraszam, że zawracam głowę, ale obiecała pani dać mi znać w sprawie koloru orchidei na ślub panny Shaw z panem Gerardem. Czekam niecierpliwie na telefon.

Wzięła głęboki oddech i przyciskając chłodną słuchawkę do czoła, zamknęła na moment oczy.

„Wszystko mam pod kontrolą. Ślub jest dopiero w przyszłą sobotę. Tort będzie doskonały. Cukrowe orchidee mogą mieć dowolny kolor. Ze skromnej pani cukiernik przeistoczę się w elegancką druhnę”.

To była jej mantra. Na najbliższe siedem dni.

Sama zaproponowała, że przygotuje tort. Idealny tort weselny w prezencie ślubnym dla dwojga swoich najbliższych przyjaciół.

Oczywiście tort czekoladowy. Ozdobiony kwiatami z cukru w kolorze kwiatów w bukietach. Trzypiętrowy: każde „piętro” z innego rodzaju czekolady.

Z zadumy wyrwał ją wesoły chichot. Otworzyła oczy i zobaczyła, jak obładowane ciastkami dziewczynki wychodzą z kuchni. Czyli opiekunce udało się wreszcie je przekonać, że pora wracać do domu na kolację.

- Tylko nie zjedzcie wszystkiego po drodze! - zawołała Amy.

- Dziękujemy! - Opiekunka pomachała do niej na pożegnanie. - I przepraszamy za bałagan.

Amy odprowadziła śmieszki wzrokiem. Zniknęły w części sklepowej, zostawiając za sobą... O rety! Pora brać się za sprzątanie!

W piątek wieczorem Jared Shaw wędrował chodnikiem pełnym ludzi śpieszących się do domu. Kiedy samochody stanęły na czerwonym świetle, przebiegł przez ulicę i skierował się w stronę trzech niedużych sklepików.

Niewiele się tu zmieniło w ciągu ostatnich osiemnastu lat.

Kiosk z gazetami, gdzie kupował pierwsze pisma motoryzacyjne, nadal stał, natomiast znikł sklep z narzędziami, którego właściciel zreperował Shawom ciekący kran w zamian za jedwabny krawat. Jego miejsce zajęła agencja nieruchomości.

Jared uśmiechnął się pod nosem. Znajomi pukali się w głowę, kiedy firma Haywood-Shaw nabyła nieruchomość w tej części Londynu. Stary, mówili, kiepsko na tym wyjdiesz.

Udowodnił im, że się mylą.

Dziś nie interesował go ani kiosk, ani agencja, tylko trzeci budynek: cukiernia Edlers z charakterystyczną granatowo-białą markizą. Ileż to razy przyciskał nos do zimnej szyby i patrzył na cudowne czekoladowe ciastka, które dla niego, chłopca bez grosza przy duszy, były czymś wspaniałym, lecz nieosiągalnym.

Z naprzeciwka zbliżał się mężczyzna mniej więcej w jego wieku, obok niego jechała dziewczynka na trójkołowym rowerku. Niebieskooka, jasnowłosa, z promiennym uśmiechem była tak podobna do małej Lucy, że Jared aż wstrzymał oddech. Psiakość, zbyt wiele wspomnień wiąże się z tą dzielnicą. Nie przyszedłby tu, gdyby siostra go o to nie poprosiła.

- To ci zajmie góra pięć minut. Poznasz moją kumpelkę, a przy okazji sprawdzisz, czy nie szaleje z przygotowaniami. I tak będzie miała mnóstwo roboty z tortem weselnym. No, nie krzyw się, skoro będziesz w Londynie...

Miał za sobą dziewięćdziesięciogodzinny tydzień pracy, opłacał najlepszą w mieście organizatorkę wesel i ostatnia rzecz, o jakiej marzył, to spotkanie z przejętą druhną i rozmowa o torcie weselnym.

On zarabiał, Lucy z matką wydawały. Taki był podział ról. Ale czy potrafił odmówić czegoś ukochanej siostrze?

Nie. Zresztą Lucy była jedyną dziewczyną, która wiedziała, jak owinąć go sobie wokół palca. Dlatego zgodził się w drodze z lotniska wstąpić do Amy Edler, zamiast jechać prosto do swojego luksusowego apartamentu.

No dobra. Wziął głęboki oddech i nacisnął klamkę. Nad drzwiami zabrzączał dzwonek. Jared odsunął się na bok, przepuszczając starszą parę, która z firmowymi torbami w ręku opuszczała cukiernię.

W środku unosił się zapach przypraw korzennych, wanilii, karmelu, masła, świeżego pieczywa. Jared wciągnął powietrze. Ach, co za rozkosz, zwłaszcza w porównaniu ze smrodem spalin na zewnątrz!

Rozejrzał się wokół; beżowo-granatowe ściany, półki i meble z jasnego drzewa. W cukierni, którą pamiętał z dzieciństwa, półki były popękane, a na ścianach pokrytych brązową tapetą wisiały naddarte i pożółkłe ze starości plakaty. Dzisiejsze wnętrze było nowoczesne, ciekawie zaprojektowane, a zarazem przytulne.

Ktoś wyraźnie zna się tu na rzeczy.

Na półkach za ladą leżał chleb, lecz wzrok przykuwała wspaniała różnorodność niezwykłych ciast, babeczek, tortów, owocowych tart i fantazyjnych pralin, których nie powstydzilaby się najlepsza francuska cukiernia. Większość tac była już pusta.

Granatowa zasłona oddzielająca sklep od kuchni rozsunęła się i w przejściu pojawiła się nastolatka w granatowym fartuchu włożonym na T-shirt i spodnie. Na przypiętej do piersi białej plakietce widniało imię „Trixi”.

- Cześć, przystojniaku. To dla mnie?

Jared zaniemówił. Słyszał, że w niektórych miejscach personel dość poufale zwraca się do klientów, ale żeby aż tak? Ponieważ milczał, dziewczyna wskazała głową na bukiet kwiatów, który trzymał w lewej ręce.

- A, to! Nie, przykro mi - odparł. - Czy zastałem pannę Amy Edler?

- Hej, szefowo! - zawołała Trixi, spoglądając za siebie. - Jakiś przystojniak z kwiatami pyta o ciebie!

- Wpuść go na zaplecze.

- Amy jest w kuchni - wyjaśniła nastolatka, odciągając na bok granatową zasłonę. - Gdybyś czegokolwiek potrzebował, to wiesz, gdzie mnie szukać.

- Dziękuję. - Czując na plecach spojrzenie Trixi, minął ją i wszedł do pomieszczenia, które dla niego stanowiło uosobienie chaosu.

Wszystkie powierzchnie były brudne, jedne umazane mąką, inne ochlapane jakąś kolorową mazią, wszędzie wałały się talerze oraz sztućce.

Jedyny piekarz, jakiego Jared dotąd znał, pracował w szkole z internatem, do której chodził. Miał, a raczej miała, bo była to kobieta, ze czterdzieści lat, budowę zawodnika

sumo i ogromny biust, który robił wrażenie na wszystkich chłopcach. Zresztą nie tylko biust robił wrażenie, również to, jak kobieta wywijiała wałkiem.

Drobna, szczupła dziewczyna w spodniach w kratkę i fartuchu w niczym nie przypominała zawodniczki sumo. Fartuch, ręce i spodnie miała białe od mąki; gdzieniegdzie tę biel znaczyły brązowe plamy. Podobne plamy czegoś lepkiego pokrywały miski i talerze, które w błyskawicznym tempie zbierała ze stołów.

Rany boskie, w co go Lucy wpakowała?

Słyszając głośnie westchnienie, Amy obróciła się, pewna, że to Trixi, która każdego mężczyznę samotnie przekraczającego próg cukierni uważała za przystojniaka.

Do tej pory żaden przystojny nie był.

Ale dziś... Dziś Amy nie mogła oderwać wzroku od nieoczekiwanego gościa. Typ biznesmena. Wysoki, o doskonale przystrzyżonych ciemnoblonde włosach, ubrany w elegancki garnitur oraz lśniące czarne buty. Śnieżnobiała koszula rozpięta pod szyją, twarz opalona. Tylko raz odwiedził ją w kuchni człowiek w garniturze: jej bankier. Dzisiejszy gość nie wyglądał na bankiera.

Przyglądał się jej jakoś dziwnie.

Coś w jego twarzy wydawało się jej znajome. Hm, czyżby się już kiedyś spotkali?

Obdarzyła go uśmiechem.

- Dobry wieczór. Pan do mnie? - Wskazała na drewniane krzesła wokół stołu. - Zanim będę do pana dyspozycji. Może kawałek strudla? Na koszt firmy.

Wrzuciła do miski pokrytą lukrem łopatkę, następnie, przesunawszy w stronę Jareda talerzyk, wyjęła z pieca podłużną blachę.

- Przepraszam... nie znam pańskiego nazwiska. Ale miło mi pana powitać w Edlers Bakery. Jestem Amy.

Przeniosła ciepłe ciasto na talerzyk, odstawiła blachę i wyciągnęła na powitanie dłoń.

Jared popatrzył na kawałek strudla, po czym utkwił spojrzenie w lśniących zielonych oczach Amy Edler i uściśnął wyciągniętą dłoń, małą, ciepłą i lepka, o długich silnych palcach. Była to dłoń kobiety, która gotuje posiłki, ugniata ciasto na chleb, zmywa naczynia. Kobiety, która nie liczy na męskie wsparcie.

Zwykle się witał przez podanie ręki, zarówno z mężczyznami, jak i z kobietami. Tym razem miał wrażenie, jakby między nim a Amy przeskoczyła iskra.

Amy podniosła wzrok i zmarszczyła czoło. Najwyraźniej ona też to poczuła. Zieleń jej oczu, świeża zieleń budzącej się do życia przyrody, zaparła mu dech w piersiach.

Temperatura w kuchni skoczyła o kilka stopni. Przeniknął go żar. To z powodu pieców, uznał.

Spodziewał się, że Amy Edler będzie menadżerem albo dyrektorem finansowym, a nie cukiernikiem! Czy to o tej dziewczynie Lucy rozplątywała się, kiedy omawiali jej ślub? O druhninie, która zrobiła zawrotną karierę w świecie bankowości, zanim postanowiła wrócić do Londynu? Chyba musiała zająć pomyłkę.

Nagle Jared spostrzegł zegar na ścianie. No tak, oczywiście. Personel poszedł już do domu, a ona sprząta bałagan.

Amy stała z przechyloną na bok głową, czekając cierpliwie, aż gość raczy się przedstawić.

- Jared Shaw. Brat Lucy.

Zmrużyła oczy. W jej spojrzeniu widział inteligencję, siłę, a także... podejrzliwość? Po chwili podejrzliwość znikła i uśmiech ponownie rozjaśnił jej twarz.

- Jared? Lucy wspomniała, że przyjedzie pan na ślub, ale sądziłam, że dopiero na początku przyszłego tygodnia. Tak czy inaczej witam. Miło mi pana w końcu poznać.

- Mnie panią również. Proszę, to dla pani.

Wyciągnął w jej stronę bukiet składający się ze strelcji oraz żółtych orchidei. Amy zamarła w bezruchu, po czym wolno sięgnęła po kwiaty.

- Coś nie tak? - spytał. - Nie podobają się pani?

Podniosła wzrok.

- Wprost przeciwnie. Są przepiękne. Po prostu dawno nikt mi nie dał... - zaczęła cicho i urwała. Chwilę później ciągnęła normalnym głosem: - Dziękuję, Jared. Wstawię je do wody. Mam prośbę, mówmy sobie po imieniu, dobrze? - Błysnęła zębami w uśmiechu. - Przepraszam, muszę ogarnąć ten bałagan, ale możemy w trakcie rozmawiać. Pewnie chcesz wiedzieć, czy wszystko jest dopięte na ostatni guzik?

Wodził spojrzeniem za drobną dziewczyną, która z bukietem kwiatów podeszła do zlewu. Naprawdę była bankierem? Znał kilka kobiet robiących karierę w biznesie, z pa-roma się umawiał. Żadna z nich nie zhańbiłaby się pracą w kuchni.

- Tak - odparł. - Lucy powiedziała, że jesteś w kontakcie z organizatorką wesela i trzymasz rękę na pulsie. Będę w Londynie przez kilka dni. Nie wiem, czy mógłbym się do czegoś przydać, ale chciałbym pomóc. - Rozejrzał się po kuchni. - Możesz mną do woli dysponować. Piętaszek do pani usług.

Amy położyła bukiet na ociekaczu i utkwiała oczy w mężczyźnie, który stał w jej kuchni.

Wybuchnęła gromkim i serdecznym śmiechem, który wydobywał się z głębi jej trzewi i wstrząsał całym ciałem. Musiała się uchwycić krawędzi zlewu, by nie upaść. Kiedy wreszcie uspokoiła się i starła z policzków łzy, ponownie wbiła wzrok w przystojnego blondyna, który patrzył na nią ze zdumieniem.

- O Boże, przepraszam. To było bezcenne! Podobnie jak twój obecny wyraz twarzy.

Jared otworzył usta, po chwili zamknął je, pociągnął lekko prawy mankiet, potem lewy, wreszcie rzekł:

- Wybacz, ale nie bardzo rozumiem. Ja tylko zaoferowałem pomoc. Co cię tak rozbawiło?

- Ty.

Amy wytarła ściereczką ręce i podeszła do swojego gościa.

- Lucy powiedziała mi, co powiesz. Oczywiście nie wierzyłam jej, ale użyłeś tych samych słów, jakie padły z jej ust. Łącznie z Piętaszkiem do pani usług.

Nastąpiła kilkusekundowa cisza, w trakcie której Jared prostował i zaciskał palce. W końcu westchnął.

- Czy moja kochana siostrzyczka wspomniała również, że nie cierpię być przewidywalny?

Amy skinęła głową.

- Tak. Ale nie przejmuj się, doskonale cię rozumiem. Po prostu jako starszy brat troszczysz się o siostrę. I nie gniewaj się za mój wybuch śmiechu; nie śmiałam się z cie-

bie, tylko z tego, co mówiłeś. - Zakryła ręką usta, bezskutecznie usiłując powstrzymać kolejny atak.

Jared wzruszył ramionami.

- Może wrócę jutro?

Wierzchem dłoni otarła łzy.

- Mam za sobą ciężki dzień. Zacznijmy od początku. Napijesz się czegoś? Może soku? Albo lemoniady lub wody?

- Nie, dziękuję. Wciąż się zastanawiam, co cię tak rozbawiło.

- Och, nie denerwuj się. Oglądasz czasem te programy w telewizji, których uczestnicy popisują się talentem?

- Nie mam czasu na telewizję, ale wiem, o czym mówisz. Co to ma wspólnego z moją siostrą?

- Kiedy ostatni raz była w Londynie, zgłosiłyśmy się do „Utalentowanych dziewczyn”. Ona zamierzała olśnić jurorów swoim talentem artystycznym, a ja kulinarnym, i przygotować na wizji suflet.

Okrążyła stół, sięgnęła po widelec, wytarła go niezabrudzonym kawałkiem fartucha i położyła na talerzyku obok strudla.

- To, że zrezygnowałam z bankowości i postanowiłam zostać cukiernikiem, nie znaczy, że postradałam rozum. - Uśmiechnęła się. - Naprawdę nie musisz się o nic martwić. Lucy wynajęła organizatorkę wesel. Kontaktuję się z nią regularnie raz na tydzień. Dotąd nie było żadnych problemów. - Wskazała na talerzyk. - Skoro to sobie wyjaśniliśmy, usiądź i skosztuj. Wyglądasz na zmęczonego. Też masz za sobą długi dzień?

- Owszem. Bardzo długi - przyznał. - Strudel na pewno jest pyszny, ale nie jadam ciast.

Zmarszczyła brwi.

- To nie jest ciasto. To jest strudel. Mojej roboty. Własnoręcznie wykonany. W tej kuchni. Dzisiaj przed południem. W tym piecu. - Wskazawszy głową na piec, usiadła i skrzyżowała ręce na piersi.

- Sama go upiekłaś? - spytał, nie kryjąc zdziwienia.

- To specjalność firmy. I nikt nie opuszcza tej kuchni bez skosztowania strudła. To dotyczy także ciebie.

Oparła ręce na blacie i pochyliła się do przodu. Ich twarze dzieliło zaledwie kilka centymetrów. Lucy Shaw była jedną z niewielu osób, z którymi ona, Amy, chciała się zobaczyć, kiedy leżała w szpitalu. Teraz Lucy wychodzi za mąż, a ona nie zamierza jej zawieść. Nie zamierzała też dać się stłamsić bratu przyjaciółki, który najwyraźniej wątpi w jej zdolności kulinarne. Nawet jeśli ten brat skropił się wodą o zapachu cytrusowym i wygląda jak model.

Gdyby spotkała go w innych okolicznościach, bez wahania określiłaby go słowami: boski, fantastyczny.

Wpatrywał się w jej oczy, a kąciki ust lekko mu drgały. Nie, nie było mu wesoło; przypuszczalnie był zirytowany, że nie pozwalała mu się włączyć w przygotowania weselne. Nie żeby osobiście miał się czymkolwiek zajmować, zapewne scedowałby ten obowiązek na swoją sekretarkę.

Z drugiej strony najbliższe dni będą dość napięte. Gdyby pojawił się jakiś problem, dobrze byłoby mieć wsparcie. W końcu co dwie głowy, to nie jedna. Oczywiście pod warunkiem, że Jared nie próbowałby przejąć steru.

- Hm, może przydałbyś mi się do paru rzeczy - szepnęła zmysłowym głosem Amy.
- A może nie...

Wbiła wzrok w talerzyk z kawałkiem strudła, po czym podniosła spojrzenie na swego gościa.

- Zależy, jak się zachowasz w ciągu następnych pięciu minut...

Nie odezwał się, a ona tkwiła bez ruchu. Ledwo oddychała. Miała wrażenie, że powietrze jest naelektryzowane, że coś, jakaś siła, ciągnie ich do siebie.

A więc to jest słynny Jared Shaw, pomyślała, prezes firmy Haywood-Shaw, której wielkie bilbordy reklamujące nieruchomości wiszą w całej Anglii i na wschodnim wybrzeżu Stanów Zjednoczonych. Facet emanował siłą. Na pewno gdy wchodził do baru lub restauracji, wszyscy kelnerzy mu nadskakiwali.

Ale tu, kochany, nikt ci nadskakiwać nie będzie!

Nagle zadzwoniła komórka. Amy wyjęła telefon z kieszeni i zerknąwszy na nazwisko widniejące na wyświetlaczu, skrzywiła się zirytowana.

Po chwili ponownie wbiła wzrok w Jareda.

Domyślił się, że stało się coś złego.

- Tak. Będę za dwadzieścia minut. Dziękuję.

Rozłączyła się, wzięła głęboki oddech, po czym wolno wypuściła powietrze i udała się na koniec kuchni, gdzie zdjęła fartuch. Pod spodem miała spodnie i granatowy T-shirt. Wycierała ręce, kiedy Jared podszedł zaniepokojony.

- Pamiętasz tę organizatorkę wesel, którą Lucy zatrudniła? - zapytała. - Tę, którą zamawiają celebryci?

Jared wyprostował się. Na jego twarzy malowało się napięcie, zupełnie jakby się spodziewał najgorszego. Jakby przygotowania do ślubu Lucy wzięły w łeb.

Nie pomylił się.

- Clarissa odwołała wszystkie spotkania i poleciała na Antiguę. Z facetem, który jutro miał poślubić swoją narzeczoną. Jadę do jej biura po folder Lucy. Masz ochotęjechać ze mną?

ROZDZIAŁ DRUGI

Wiedział, że coś takiego się wydarzy. To jego wina!

Zamiast samemu się wszystkim zająć, pozwolił, by Lucy wynajęła organizatorkę wesel, kobietę, której na oczy nie widział. W porządku, pracy miał od groma, akurat był w trakcie negocjowania największego kontraktu w życiu, ale co z tego? Rodzina jest najważniejsza. Obiecał matce, zanim przeniosła się do Francji, że będzie opiekował się siostrą.

I co? I nic. Ślub odbędzie się zgodnie z planem. Lucy wyjdzie za mąż, będzie miała wspaniałe wesele. W końcu od czego ma brata? A od czego on ma najlepszą na świecie sekretarkę oraz fantastyczny zespół ludzi, którzy w każdej chwili mogą wsiąść do samolotu i przyjść z odsieczą?

Dźwięk klaksonu wyrwał go z zadumy. Przeczesał ręką włosy, po czym rozpiął marynarkę.

Był zmęczony i bardzo głodny. Otworzył drzwi, by odetchnąć świeżym powietrzem. Może należało zjeść ten kawałek strudla? Przecież by się nie otruł. Kto wie, może nawet oblizałby się ze smakiem?

Kiedy snuł te rozważania, Amy wybiegła na zewnątrz. Przystanęła obok z naręczem firmowych kartonów.

- Przyda nam się łapówka, nie mówię o forsie - rzekła, po czym skinęła w kierunku skrzyżowania. - Po drugiej stronie jest przystanek. W biurze Clarissy będziemy za kwadrans.

- Chcesz jechać autobusem? - Jared wyciągnął komórkę. - Mam lepszy pomysł.

Po chwili tuż obok nich zatrzymał się lśniący srebrny rolls-royce.

- Cholera, klient - mruknęła Amy. - Pewnie po tort Sachera. Zaraz, zaraz, skądś znam ten samochód...

- Daj mi te pudełka i wsiadaj - powiedział. - Mój kierowca...

Amy wcisnęła mu kartony do rąk, a sama dosłownie rzuciła się na szyję kierowcy. Jared patrzył z niedowierzaniem, jak wspina się na palce i całuje Franka w policzek. Poczul lekkie ukłucie zazdrości.

Zazdrości? Dziwne. Nie bywał zazdrosny. Zwłaszcza o kobiety, które znał od zaledwie kilku minut.

Ostrożnie, by nie upuścić cennych łapówek, otworzył pokrywę bagażnika. Metalowa powierzchnia przysłoniła mu widok czule witającej się pary.

- Amy, kwiatuszku, więc tu się ukrywasz? No, no, cukiernia Edlers! - Frank pokiwał głową. - Lucy powinna była mi powiedzieć.

- Jesteś tu zawsze mile widziany, Frank. Wpadaj, kiedy masz ochotę. Dostaniesz wszystko, co tylko ci się zamarzy.

Jared zamknął bagażnik. Zobaczył, jak Amy, uśmiechając się promiennie, odsuwa się od Franka. Nagle, na jego oczach, z ładnej dziewczyny przeistoczyła się w piękną kobietę.

Już w kuchni, w ostrym świetle jarzeniówek, nie uszło jego uwadze, że Amy należy do tych nielicznych dziewczyn, które bez makijażu też dobrze wyglądają, ale teraz promienie zachodzącego słońca podkreślały mleczną barwę jej cery i niezwykłą zieleń oczu. Do tego dochodził uśmiech, szeroki, pogodny, ujmujący.

Jaredowi zaparło dech w piersiach. Usiłował sobie przypomnieć, ile to lat temu ktoś patrzył na niego tak ciepło i serdecznie? Jakby autentycznie darzył go sympatią?

Nawet nie pamiętał, kiedy ostatni raz rozmawiał z kobietą spoza swojego kręgu biznesowego. Właśnie z kimś takim jak Amy Edler. Gdyby miał więcej czasu... Niestety, czasu mu brakowało. Miał tydzień na przygotowanie ślubu siostry, a potem wracał do Nowego Jorku.

- Czyli znacie się, ty i Frank? - zauważył neutralnym tonem, otwierając dla Amy tylne drzwi.

- Do kogo by mała Lucy zadzwoniła z prośbą, żeby odebrać jej przyjaciółkę z lotniska? Do obcego taksówkarza? - oburzył się Frank, po czym ponownie zgarnął Amy w ramiona. - Wyglądasz cudownie. Jak się miewasz?

Uśmiech na jej twarzy na moment przygasł, ale szybko wzięła się w garść.

- Świetnie, Frank. Naprawdę świetnie - odrzekła cicho, jakby chciała ukryć przed nim jakąś bolesną prawdę.

Frank spojrzał na Jareda.

- Znam tu w pobliżu sympatyczną włoską knajpkę. Może zjemy w trójkę kolację, pogadamy?

Zanim Jared zdążył otworzyć usta, Amy pokręciła ze śmiechem głową.

- Nic z tego, Frankie. Wynajęta przez Lucy organizatorka wesela wyjechała z narzeczonym jednej ze swoich klientek. Przed chwilą miałam telefon od jej asystentki. Musimy tam szybko dotrzeć, zanim inne wystawione do wiatru panny młode przystąpią do szturmu.

- Wsiadajcie - zarządził Frank - bo jak się wieść rozniesie... Na szczęście znam drogę na skróty.

Amy wsunęła jedną nogę do auta, po czym cofnęła się gwałtownie na chodnik, zderzając się z Jaredem.

Chwycił ją za nadgarstki, następnie objął w pasie. Amy miała szczupłe, świetnie zbudowane ciało. Odruchowo przytulił je mocniej.

- Spokojnie. Trzymam cię.

Zamierzała coś powiedzieć, ale zrezygnowała. Bez słowa wpatrywała się w jego oczy.

Zapomniał, że stoi w miejscu publicznym, na londyńskiej zatłoczonej ulicy. Czuł tylko, że serce wali mu nieprzytomnie. Zapach Amy - wanilii, korzennych przypraw, świeżego chleba - oraz jej przyspieszony oddech sprawiły, że nie słyszał klaksonów, warkotu silników, pisku opon.

Po długiej chwili opuścił ręce i postąpił krok do tyłu.

- Przepraszam - szepnęła, po czym pokazała nogawki swoich spodni. - Jestem upaprana czekoladowym lukrem, a wewnątrz auta lśni czystością...

Zapadła cisza. Frank pierwszy się odezwał:

- Oj tam, brudniejsze rzeczy już woziłem. Jared, w bagażniku jest koc. Rozłóż go na siedzeniu i w drogę.

- Jak dobrze znasz tę organizatorkę wesel? - spytał Jared, kiedy znów był w stanie jasno myśleć.

- Clarisę? Słabo. Poznałam ją podczas ostatniego pobytu Lucy w Londynie. Wszystkim zajmuje się jej asystentka Elspeth. Ale znam kilka dziewczyn, które ko-

rzystały z usług Clarissy, i wszystkie były zachwycone. Dlatego się nie martwię. Ślub Lucy jest za tydzień. Rezerwacje musiały być dokonane wiele tygodni temu.

Przyznał jej w duchu rację.

- Nie szkodzi się upewnić - mruknął. - Nie ma sensu dzwonić do Lucy i jej denerwować bez potrzeby.

Usiłując zachować spokój, Amy wyjrzała przez szybę.

- Naprawdę dam sobie radę.

- Wiesz, Clarissa pochłonięta romansem z cudzym narzeczoną mogła o czymś zapomnieć. Trzeba dokładnie przejrzeć listę spraw, upewnić się co do miejsca, czasu i tak dalej.

- Rozumiem. - Amy pokiwała głową. - Przeszkadza ci świadomość, że ktoś poza tobą lub twoimi pracownikami jest w stanie cokolwiek dopilnować. Zgadłam?

Na przednim fotelu rozległ się cichy śmiech. W tym samym momencie samochód skręcił ostro w lewo. Jared prześliznął się po skórzanym obiciu w stronę siedzącej na końcu Amy. Chwytał ją za kolano, by jej nie przygnieść. I poczuł między palcami lepka maź.

Zakręciło mu się w głowie, jakby był pijany. Psiakość, powinien był zjeść tego strudla. Męczył go głód, stąd te zawroty. Albo z powodu zmęczenia spowodowanego podróżą i różnicą czasu między Londynem a Nowym Jorkiem. Bo przecież nie od kontaktu z kolanem upapranym czekoladą. - Zapnij się - powiedziała Amy. - Od tego są pasy.

Wrócił na swoje miejsce, zapiął pas i spojrzał w bok, udając, że go fascynuje widok za szybą.

W szybie zobaczył odbicie Amy. Jedną ręką szukała czegoś w torbie, drugą ściągnęła chustkę z włosów. Odrzuciła głowę do tyłu, zamknęła oczy i leniwie przeczesła palcami swoje krótkie brązowe włosy.

Była to najbardziej zmysłowa rzecz, jaką ostatnio widział. W dodatku jej zachowanie cechowała prostota i naturalność. Ciemne włosy, które kontrastowały z jasną cerą, lśniły w czerwcowych promieniach zachodzącego słońca. Ile miała lat? Studiowała na uniwersytecie w tym samym czasie co Lucy, czyli niecałe trzydzieści.

Nagle poderwała głowę i roześmiała się z czegoś, co Frank powiedział. Jared zaciął zęby. Dlaczego to go irytuje? Przecież umówili się, że Frank jest do jego dyspozycji,

kiedy on, Jared, przebywa w Londynie. W pozostałym czasie może wozić po mieście Lucy i jej przyjaciół. Ale dlaczego Frank nigdy mu wcześniej nie wspomniał o Amy?

W ciszę wdarł się odgłos syreny policyjnej. Jared odwrócił wzrok od szyby. Kątem oka dostrzegł, jak Amy wysuwa czubek języka i zlizuje z wargi odrobinę czekoladowego lukru. Zauważyła jego spojrzenie. Czy zauważyła również, że temperatura w samochodzie podniosła się o kilka stopni? Frank powinien sprawdzić, czy klimatyzacja dobrze działa.

- Myślisz, że zdołamy obejrzeć harmonogram przygotowań do ślubu?

Amy westchnęła głośno.

- Nie będzie to łatwe. Każdy klient ma swój różowy folder. W nim umieszcza się wszystkie informacje dotyczące ślubu, wesela, kwiatów, menu i tak dalej. Folderu nie wolno wynosić z biura, choćby się waliło i paliło. Mam nadzieję, że łakocie z Edlers skłonią Elspeth do złamania tej zasady.

Jared pokiwał głową.

- Może się uda. Chociaż zawsze mi się wydawało, że przez żołądek dociera się do męskiego serca.

- Do kobiecego również.

Kiedy Frank zatrzymał samochód, Amy wyjrzała przez okno. Wzdłuż wąskiej ulicy stały dziesiątki aut, większość krzywo zaparkowanych, jakby ich właścicielkom bardzo się gdzieś spieszyło.

- Wygląda na to, że ciasteczka się przydadzą. Zadanie jest niebezpieczne, ale ktoś musi je wykonać. Dobra, chłopaki, zostańcie tu, a ja wysiadam.

Niebezpieczne? Jared wyjrzał z zaciekawionym.

Przez całą długość ulicy ciągnął się rząd szeregowców w stylu wiktoriańskim. Kiedyś mieszkały tu rodziny należące do klasy średniej, dziś w większości domów mieściły się hotele lub firmy. Na drzwiach budynku, przed którym stali, wisiała brzydka różowa tablica z czarno-złotym napisem „Clarissa”, przed wejściem zaś tłoczyła się spora grupa kobiet.

Szczupłych i eleganckich kobiet zaprawionych w bojach. Kobiet, które podczas styczniowych wyprzedaży deptają innym po nogach i rozpychają się łokciami. Wszystkie usiłowały się dostać do środka.

Jared z przerażeniem patrzył na to, co się dzieje. Ochraniacze na łydki zostawił w Nowym Jorku. Amy miała rację: wmieszanie się w ten tłum było niebezpieczne, ba, groziło wręcz kalectwem albo śmiercią!

Ścisnął ją za ramię, kiedy odpinała pas.

- To bez sensu. One cię stratuja.

Amy opadła z powrotem na siedzenie, spoglądając na powiększającą się z sekundy na sekundę ciżbę. Podjechało kilka kolejnych samochodów, z których wysypały się niedosze klientki.

- Cholera. Co robimy?

- Trzeba wrócić w poniedziałek, kiedy zapanuje spokój - stwierdził Frank.

- Wykluczone! - zaprotestował Jared. - Lucy wychodzi za mąż za siedem dni. W poniedziałek będzie za późno. Posiedźcie tu, a ja spróbuję szczęścia.

Tym razem to Amy chwyciła go za łokieć.

- Poczekaj, panie Macho! Te dziewczyny rozszarpią cię na strzępy. Nie wiesz, że wina zawsze leży po stronie faceta? W tym wypadku winien jest narzeczony. Rozkochał w sobie biedną Clarissę. Musiałbyś być sierotą w zaawansowanej ciąży, żeby wepchnąć się na przód tej kolejki!

Jared ściągnął w zadumie brwi, po czym powiódł wzrokiem po Amy i wolno skinął głową.

- Sierota w zaawansowanej ciąży? Nieźle. Kto wie, może się uda... - Pogładził koc, na którym Amy siedziała.

- Aż się boję spytać, co wymyśliłeś - powiedziała, obserwując go uważnie.

- Frank? Masz w bagażniku jakieś poduszki? - spytał, nie zwracając na Amy uwagi.

- Owszem.

- Świetnie. Panno Edler, wiem, że dopiero się poznaliśmy, ale lada dzień na świat przyjdzie nasze dziecko.

Otworzyła szeroko oczy.

- Żartujesz, prawda?

Nie odpowiedział; zamiast tego uśmiechnął się szeroko. Z wrażenia aż zaniemówiła. Po raz pierwszy, odkąd wszedł do jej kuchni, zobaczyła na jego twarzy uśmiech. I pomyślała, że każda dziewczyna, którą Jared obdarzy takim uśmiechem, zgodzi się na wszystko, o co ją poprosi.

Zacisnęła powieki. Obiecała przyjaciółce, że pomoże w organizacji ślubu i wesela. Ale miała również inny, bardziej osobisty powód, aby przyjęcie okazało się sukcesem.

Chodziło o tort weselny, który zamierzała zrobić. Będzie to pierwszy tort weselny w jej życiu, ale nie jedyny. Clarissa już zamówiła kilka na kolejne organizowane przez siebie śluby, poza tym Lucy na pewno opowie swoim londyńskim znajomym o jej tortach. Opowie, jeśli jej ślub z Mike'em dojdzie do skutku.

Amy zdawała sobie sprawę, jak wiele od tego zależy.

Chciała rozkręcić swój interes.

Chciała również, żeby jej przyjaciele przeżyli niezapomniane chwile.

Dlatego musi zdobyć różowy folder z informacją o aktualnym stanie przygotowań do ślubu. I dlatego spytała:

- To ile poduszek? Jedna? Dwie?

Jared obszedł maskę i otworzył drzwi dla Amy, która szykowała się do zagrania oscarowej roli.

Jared skłonił się jej lekko, a ona, ująwszy jego dłoń, wysiadła z wysoko uniesioną głową, zupełnie jakby w wieczorowej sukni miała przejść po czerwonym dywanie. Tyle że nie wybierała się na premierę filmu, a do biura organizatorki wesel i nie miała na sobie eleganckiej sukni, lecz granatowe spodnie ochlapane lukrem oraz wielki poplamiony T-shirt, pod który wepchnęła koc piknikowy i dwie poduszki.

Aby przedstawienie wyglądało bardziej wiarygodnie, Jared niczym troskliwy narzeczony objął ją czule w pasie. Weszli po schodach do wąskiego korytarza pełnego zdeenerwowanych kobiet, które usiłowały przekrzyczeć się nawzajem. Panował wprost nieopisany zgiełk.

Amy ścisnęła rękę Jareda, dając mu znak, że musi podsunąć poduszkę, po czym wspiąwszy się na palce, szepnęła mu do ucha:

- Umówmy się. Jeżeli Elspeth odda mi folder, wtedy zgodzę się na twoją pomoc. Ale pod warunkiem, że to ty będziesz pomagał. Nie twoja sekretarka, nie twoi wspaniali pracownicy, tylko ty osobiście.

Na użytek zgromadzonych w korytarzu kobiet posłała mu pełen uwielbienia uśmiech.

- To co? Zgadzasz się? Jeśli tak, ściśnij raz, jeśli nie, dwa razy.

Objął ją mocniej w pasie. Drogę powrotną do samochodu zagradzała groźnie wyglądająca matrona, która towarzyszyła młodej, zalewającej się łzami kobiecie.

Nie było odwrotu.

Jared ścisnął Amy jeden raz. Nie puszczając jego ręki, zaczęła go ciągnąć w stronę lady, przy której urzędowała roztrzęsiona recepcjonistka. Koc i poduszki sprawiały, że wyglądała jak w ósmym miesiącu ciąży.

- Cześć - powiedziała do recepcjonistki. - Słyszałam o nieplanowanym urlopie Clarissy.

Obejrzała się za siebie. Przez chwilę spoglądała w milczeniu na mokre od łez, zdenerwowane twarze kobiet.

- Mój narzeczony i ja pobieramy się za tydzień - ciągnęła, kiedy w korytarzu zapadła cisza. Zaskoczonego Jareda obdarzyła czarującym uśmiechem. - Nie możemy dłużej czekać, bo lada dzień urodzi się nasza kochana Jarella. - Zerknęła na zegarek. - Byłam dziś umówiona na spotkanie, więc sama pani rozumie...

Zanim recepcjonistka zdołała cokolwiek powiedzieć, Amy, wypychając do przodu ogromny brzuch i przytrzymując się czerwonego na twarzy Jareda, ruszyła w stronę gabinetu Clarissy. Zapukała i nie czekając na żadne „Proszę”, nacisnęła klamkę i weszła do środka.

Jared zamknął za nimi drzwi.

Szczupła, na oko czterdziestokilkuletnia kobieta w opiętym różowym kostiumie siedziała przy różowym biurku i podpierała dłońmi brodę. Niemal cały blat zakrywały

żółte karteczki. Z prawej ręki kobiety zwisała słuchawka telefoniczna. Przy lewej stała butelka sherry i mały kieliszek. Butelka była prawie pusta.

- Cześć, Elspeth. Pamiętasz mnie?

- Poradzisz sobie - rzekła Amy, patrząc w przerażone oczy asystentki Clarissy, która podjadała przyniesione z Edlers ciasteczka. - Przejmiesz wszystko w swoje ręce. I tak wykonywałaś lwią część roboty.

Kobieta zastygła z ręką w powietrzu. Okruchy ciasta posypały się na leżące na biurku papiery.

- No tak - przyznała z namysłem. - Clarissa rozmawiała z klientkami, a mnie powierzała nudne rzeczy, takie jak dokonywanie rezerwacji, rozmowy z dostawcami jedzenia, kwiatów, tortów.

- Wcale nie nudne - zaproponowała Amy. - Ważne. Zwłaszcza dla przyszłych panien młodych i ich matek.

Usiadła na różowej kanapie obok rozdygotanej kobiety. Starła się nie myśleć o tym, że czekoladowy lukier na spodniach zniszczy jedwabne obicie.

- Przecież chcesz być organizatorką wesel, prawda? Prawda? No właśnie. - Ujęła w swoje lepkie dłonie drżącą, wypielegnowaną rękę Elspeth. - Teraz masz szansę spełnić swoje marzenia. Każdej z tych dziewczyn za drzwiami możesz wyprawić najwspanialsze wesele na świecie. To ty zapełniałaś foldery kolejnymi pomysłami. Ty, nie Clarissa. Teraz musisz tylko przekonać klientki, że nic się nie stało, że firma dalej działa, że wszystko toczy się zgodnie z planem.

- Sama nie wiem. Pracuję tu dopiero dwa lata. Wcześniej Clarissa się wszystkim zajmowała. Musiałabym dokładnie przejrzeć... - Urwała przerażona. - O Boże! Ślub Shaw-Gerard! Jest za tydzień, a ja nawet nie zerknęłam do folderu!

Zdenerwowana wyciągnęła rękę po folder, ale to Amy pierwsza go dosięgła.

- Akurat tym w ogóle się nie zajmuj. Folder Lucy wezmę do domu, dokładnie go przestudiuję, sprawdzę szczegóły, i na początku tygodnia spotkamy się ponownie. Dobrze?

- No, nie wiem. Bez pozwolenia klientki żadne dokumenty nie powinny opuszczać biura. Clarissa bardzo przestrzegała tej zasady.

- Rozumiem. Ale to pan Shaw podpisał z waszą firmą umowę, a zatem on jest waszym klientem.

Elsbeth popatrzyła na Jareda, który warował przy drzwiach, i uśmiechnęła się nieporadnie.

- Faktycznie, pamiętam pana. Dobrze. Może więc spotkamy się w czwartek o szesnastej?

- Świetnie - ucieszyła się Amy. - I pamiętaj: ze wszystkim sobie poradzisz. Jesteś nową organizatorką wesel. No, głowa do góry. Pokaż dziewczynom, kto tu rządzi.

Zerwawszy się na nogi, pomogła Elspeth wstać z kanapy. Przez chwilę obserwowała, jak ta wygładza wąską różową spódnice, potem przycisnęła do piersi różowy folder z informacjami na temat wesela Lucy, otworzyła szeroko drzwi i uśmiechnęła się do tłumu kobiet, które natychmiast zaczęły się tłoczyć przy wejściu do gabinetu.

Jared postanowił przejąć inicjatywę; obejmując troskliwie Amy, zawołał przez ramię do Elspeth, na której twarzy wciąż malował się wyraz przerażenia:

- Bardzo dziękujemy! Mamy do pani całkowite zaufanie! Do zobaczenia w czwartek!

Zdumiona Amy utkwiała w nim spojrzenie. Tak, Lucy miała rację, twierdząc, że brat zdołałby skruszyć serce samej królowej lodu.

Rozciągał wargi w uśmiechu. Biel zębów ładnie kontrastowała z błękitem oczu i delikatną opalenizną. Dwa urocze dołeczki pojawiły się w policzkach. Czy dołeczki pasują do odnoszącego sukcesy biznesmena? Amy niemal słyszała, jak dziewczyny, do których Jared kierował swój uśmiech, patrzą na niego zachwycone.

Wcale im się nie dziwiła.

Jared Shaw był piekielnie przystojnym facetem.

I nagle... nagle na nią skierował swój zniewalający uśmiech, następnie schylił się i ją pocałował. Lekko. W czoło. A potem przytulił mocniej do siebie.

Nogi się pod nią ugięły.

Nie miała co zrobić z wolną ręką; chcąc nie chcąc, objęła „narzeczonego” w pasie. Pod jego ubraniem czuła twarde, umięśnione ciało. Czuła też jego zapach, męski i zmysłowy.

Na sekundę, na jedną krótką sekundę, puściła wodze fantazji. Wyobraziła sobie, że nie uczestniczy w żadnym przedstawieniu, że to, co się dzieje, dzieje się naprawdę; Jared jest jej narzeczoną, a ona nosi w swym łonie jego dziecko. Niebezpieczne są takie fantazje.

Ponownie utkwiała wzrok w jego przystojnej twarzy.

Świadomość, że oto jest mężczyzna, który może mieć każdą kobietę, podziałała na nią niczym kubek zimnej wody.

Wróciła na ziemię. Niech sobie inne kobiety marzą. Ona była trzeźwo myślącą realistką i wiedziała, na co może liczyć, a co jest poza jej zasięgiem.

Jared Shaw jest starszym bratem jej przyjaciółki Lucy. Przyjechał do Londynu na kilka dni. Na ślub siostry. To wszystko. Powtarzając to sobie w myślach, objęła go ciut mocniej w pasie i uśmiechnęła się radośnie.

Na szczęście potraktował to jak dalszą część jej mistrzowskiej gry. Skinął głową. Rozdzielając uśmiechy na prawo i lewo, wędrowali korytarzem, wolno i ostrożnie, żeby przypadkiem dziecko nie wysunęło się spod T-shirtu.

Doszedłszy do samochodu, Jared zerknął jeszcze raz na budynek z napisem „Clarissa”, po czym z westchnieniem ulgi wsiadł do rolls-royce'a. Udało się. Nikt ich nie straszył.

- Rany boskie, nie rozumiem tego. Jak można chcieć być organizatorką wesel? Na co to komu? Przecież ta biedna kobieta sobie nie poradzi z tym tłumem rozżalonych hien.

- Poradzi, poradzi. W razie czego zna mój numer telefonu. Najważniejsze, że mamy folder! - Amy pomachała nim triumfalnie, a następnie wyciągnęła poduszki spod bluzki. - No, Jarello, spisałaś się świetnie. Co teraz?

- Teraz? Najpierw sen - odparł Jared. - A potem przyda mi się kawa, telefon, kseroks i komputer. Wygląda na to, że muszę wyprawić siostrze wesele.

ROZDZIAŁ TRZECI

- Trzymajcie, dziewczyny. Dziesięć babeczek truskawkowych, dwanaście porcji strudla i sześć ekierok z bitą śmietaną. Powinno wystarczyć. W razie czego wróćcie po więcej.

Poddała zamówienie dwóm kelnerkom z francuskiej kawiarni mieszczącej się przecznicę dalej i przytrzymała im drzwi. Ich podziękowania zlały się z hałasem ulicznym.

Był ciepły sobotni ranek. Dziewczyny miały na sobie wzorzyste bawełniane sukienki na cienkich ramiączkach, takie jakie Amy uwielbiała nosić latem. Uwielbiała w swoim poprzednim życiu. Słońce wpadało przez czyste okna, odbijało się od kremowych ścian i jasnych płytek z terakoty. Cóż to byłaby za rozkosz ściągnąć z siebie bawełnianą bluzę i spędzić resztę dnia w zwiewnej kusej bluzce.

Tyle że kuse bluzeczki wyrzuciła lub oddała, podobnie jak sukienki na cienkich ramiączkach. Pozbyła się z szafy wszystkich ubrań, które odsłaniały blizny szpecące dekolt.

Wsunawszy rękę pod bluzę, przycisnęła palce do zrostów na skórze. Chirurg plastyczny z Chicago mówił, że jej blizny są jak odznaka honorowa i tak je ma traktować. Jak pamiątkowy medal po masakrze, którą cudem przeżyła.

Spoglądając na cukiernię, w której rozbrzmiewał wesoły gwar rozmów, Amy poczuła dławienie w gardle.

To miejsce było teraz jej domem i azylem. Spełniła swoje marzenie i przywróciła cukierni dawną świetność. Tu chciała spędzić resztę życia. Tu czuła się bezpieczna i szczęśliwa: prowadziła firmę, żyła otoczona znajomymi i przyjaciółmi.

Ale miała jeszcze jedno wielkie marzenie: chciała przygarnąć pod swój dach osierocone dziecko i pokochać je tak, jak Edlerowie pokochali ją, kiedy straciła rodziców.

Wiedziała, że się nie podda, dopóki nie osiągnie celu. Trixi podeszła i objęła ją ramieniem.

- Przy kuchennych drzwiach dwóch całkiem atrakcyjnych klientów czeka na odbiór zamówienia. A wczorajszy blond przystojniak jeszcze się nie pojawił. Myślisz, szefowo, że dziś też wpadnie?

- Wpadnie. Przynajmniej taką mam nadzieję.

Wszedł do kuchni. Głośna muzyka niemal zwała go z nóg. Miał wrażenie, że głowa mu pęknie.

Była sobota, zbliżało się południe, na bezchmurnym niebie świeciło słońce. Wczoraj od razu po kolacji położył się na kanapie i zasnął. Śniło mu się wesele.

Nie lubił przyznawać się do porażki. Zamierzał błagać Amy, by się nad nim zlitowała. Znał swoje wady i zalety, wiedział, w czym jest dobry, a co przekracza jego umiejętności. Co innego planowanie prac budowlanych, co innego organizowanie uroczystości weselnych.

Jeżeli człowiek chce, aby coś zostało dobrze wykonane, powinien zatrudnić fachowca.

Poprzez ciemne okulary słoneczne zobaczył, że Amy jest sama w kuchni. Biegała między dwoma długimi stołami zastawionymi tacami i pudełkami i coś zapisywała. Gdzie jest reszta pracowników?

- Dzień dobry.

Zero reakcji.

- Dzień dobry! - powtórzył głośniej.

W tym samym momencie przez drzwi na drugim końcu pomieszczenia weszła nastoletnia dziewczyna, którą poznał wczoraj, chyba Trixi, i ściszyła muzykę.

Amy obróciła się i posłała mu tak promienny uśmiech, że zaparło mu dech w piersiach.

- Nie musisz krzyczeć, zwłaszcza kiedy stoisz tak blisko. Ja też ci życzę dobrego dnia. Spodziewałam się ciebie bladym świtem.

W głosie Amy pobrzmiwała ciepła nuta, jakby dziewczyna ucieszyła się na jego widok. Od razu poprawił mu się humor.

- Wybacz. Jeszcze się nie przestawiłem na tutejszy czas.

- Nie musisz przeproszać. - Wzruszyła ramionami. - Najpierw podróż, potem wizyta w biurze Clarissy... Każdy byłby wykończony.

Odprężył się. Ta dziewczyna jest aniołem! Padające z góry światło jarzeniówek podkreślało jej wysokie kości policzkowe i bladość skóry. Przydałaby się jej odrobina

słońca. Może któregoś dnia zdoła ją wyciągnąć na powietrze? Mogliby się wybrać na piknik albo wycieczkę statkiem po Tamizie.

Miała na sobie bluzkę pod samą szyję. Chryste, nie jest jej gorąco? On sam czuł, jak koszula zaczyna mu się lepić do pleców. Mimo klimatyzacji, która głośno chodziła, w kuchni panował straszny upał.

- Słuchaj, soboty zawsze mam potwornie zajęte. Szykuję zamówienia - wskazała na kartki, które trzymała w dłoni - więc nie bardzo mogę rozmawiać... Domyślam się, że przyszedłeś po różowy folder?

Zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, postukała ołówkiem w brodę i kontynuowała pośpiesznie:

- Przejrzałam go wczoraj i zrobiłam dla ciebie kopię. Aha, są dwie rzeczy, które mógłbyś sprawdzić. Oczywiście jeśli sądzisz, że podołasz...

Westchnął głośno.

- Nie mam zbyt dużego doświadczenia. Jeśli coś sknocę...

- Nie sknoczysz. Potraktuj to jak wyzwanie.

Skrzywił się, ale Amy wcale się tym nie przejęła; wskazała mu mały okrągły stolik z dala od pieców i przestrzeni roboczej.

- Wszystko jest na tamtym stoliku. Usiądź, poczytaj. Niektóre punkty odhaczyłam, wydrukowałam listę nazwisk i adresów. Nie wszyscy dostawcy pracują w sobotę, ale zaznaczyłam tych, z którymi będę chciała dziś porozmawiać.

- I...? - spytał niepewnie.

Błysnęła zębami w uśmiechu.

- Na razie wszystko toczy się zgodnie z planem. - Ponownie skinęła głową w stronę okrągłego stolika. - Z dwiema osobami musimy porozumieć się jak najszybciej. Pierwsza to kierowniczką hotelu. Dzwoniłam do niej, ale z rozmowy nic nie wyszło. Jakaś sławna para urządza w hotelu wesele i wszyscy są zaaferowani.

Widząc oznaki niepokoju na twarzy Jareda, szybko spróbowała go pocieszyć.

- Nie panikuj. Z tego, co się dowiedziałam, za tydzień w sobotę mają potwierdzoną rezerwację na wesele Shaw-Gerard. Nie znam szczegółów, trzeba będzie upewnić się, co i jak. Proponuję w poniedziałek rano. Dziś ani jutro nikt nie będzie miał do tego głowy.

- No dobra. Widzę, że jesteś zajęta, a ja mam laptopa, dwa telefony i samochód. Czyli zabieram się do pracy.

- Świetnie. W razie czego możesz się przenieść na górę do mojego mieszkania. Tam jest faks i fotokopiarka. Tu za godzinę czy dwie zrobi się straszne zamieszanie.

- A pozostali cukiernicy? - spytał Jared. - Już wyszli czy dopiero przyjdą?

Amy zmarszczyła czoło.

- Pozostali cu...? - Po chwili zorientowała się, o co mu chodzi, i roześmiała wesoło.

- Przykro mi, że muszę cię rozczarować, ale w Edlers Bakery pracuje jeden cukiernik i właśnie na niego, a raczej na nią, patrzysz. Trixi i jej koleżanka zajmują się sprzedażą, ale na zapleczu, w kuchni, urzędują tylko ja.

Przechyliła na bok głowę i zmrużyła oczy.

- To zabawne. Myślałeś, że tu zasuwa cała brygada?

- Jesteś... - wykonał ręką ruch obejmujący kuchnię i pomieszczenie od frontu - tu jedynym cukiernikiem? I te wszystkie ciastka upiekłaś sama?

- Samiuteńka. Tymi paluszkami.

- Niesamowite. Tym bardziej powinienem wziąć na siebie więcej obowiązków. Mój nowojorski zespół przyzwyczajony jest do planowania i organizowania najróżniejszych uroczystości. Na pewno chętnie mi pomogą.

- Nie wątpię. Ale nie tak, proszę pana, wczoraj się umawialiśmy.

Przygryzł wargę. Zlitowała się nad nim i po raz trzeci wskazała okrągły stolik.

- Siadaj. Mam kawę. Espresso. A także herbatę i wodę mineralną. Tam jest łazienka, gdybyś potrzebował. Trixi będzie zbyt zajęta, żeby ci przeszkadzać. A jeśli poczujesz głód, to się częstuj ciastem.

- Dzięki. Na razie wystarczy mi kawa. Coś jeszcze, szefowo?

Starając się powstrzymać wybuch śmiechu, Amy ściągnęła brwi, jakby nad czymś się zastanawiała.

- Druga osoba, z którą nie udało mi się skontaktować, to fotograf. Nie odbiera telefonu. Pewnie facet obsługuje jakieś inne wesele, ale z informacji Clarissy wynika, że jego biuro powinno być czynne w sobotę. W każdym razie jego nazwisko i numer figurują na drugiej stronie naszej listy.

- W porządku. Zajmę się tym.

- Aha, jeszcze jedna rzecz. - Udała, że studiuje swoje notatki. - Możesz już zdjąć okulary słoneczne.

Przez następną godzinę Jared sprawdzał listę punkt po punkcie, dzwonił raz z jednej, raz z drugiej komórki, upewniał się, czy wszystko jest jak powinno. Pracował w atmosferze straszliwego hałasu. Chwilami miał wrażenie, że siedzi na stacji kolejowej.

Za każdym razem, kiedy odpajkowywał kolejny punkt na niekończącej się liście zadań, otwierały się drzwi i do kuchni wkraczała nowa grupka młodzieży w strojach kucharskich, na których widniało logo różnych znanych restauracji w mieście. Przychodzili po odbiór zamówień.

Zdumiewało go nie tylko to, że Amy znała imiona dzieciaków, ale że przerywała pracę, podchodziła do nich, rozmawiała z nimi, śmiała się. Rozmawiała po francusku, po niemiecku, włosku i hiszpańsku. Kilka razy zniknęła w części sklepowej i donosiła więcej ciast.

Kipiała wprost energią.

Poza tym cały czas piekła. Ilekroć Jared podnosił wzrok, wyciągała z pieca kolejną blachę smakołyków. Ani chwili nie stała beczynn timer. A on sądził, że w jego biurze praca wre.

Zdziwił się więc, kiedy oderwawszy na moment spojrzenie od kartki, zobaczył, jak Amy z kawą i malutkimi babeczkami zbliża się do jego stolika. Skoczył na równe nogi i wziął od niej talerzyk. Opadła na drewniane krzesło, na moment odchyliła głowę i zamknęła powieki.

- Zawsze panuje tu taki ruch? - spytał.

Otworzyła oczy.

- Nigdy w życiu tak ciężko nie pracowałam, jak podczas rozkręcania tego interesu. Są w Londynie doskonali cukiernicy z wieloletnim doświadczeniem. Niełatwo z nimi konkurować. Dlatego musiałam klientom zaproponować coś innego, coś wyjątkowego. Prowadzę Edlers dopiero dwa lata. To niezbyt długo, ale już się dorobiłam blizn wojennych. - Roześmiawszy się, wyciągnęła ręce, z dumą demonstrując szramy znaczące jej przedramiona.

- Rany boskie - jęknął. - To poparzenia?

- Tak, mój wuj Walter nazywa je odznaczeniami bojowymi. Są nieodłącznym elementem tej pracy. Wiedziałam, co mnie czeka. - Sięgnęła po babeczkę z cynamonowym nadzieniem, po czym podała talerz Jaredowi. - Myślisz, że ci doskonali cukiernicy mają czas piec strudle?

- Ale chyba potrafia robić te czekoladowe torty, które od rana cieszą się takim powodzeniem?

Amy odstawiła kubek z kawą.

- Chodzi panu o tort Sachera, panie Shaw? To tajemna receptura rodziny Edlerów przekazywana z pokolenia na pokolenie. Prosto z Wiednia. - Zacisnęła ręce na kubku. - Powinam cię ostrzec. Skosztowanie tego tortu wiąże się z ogromnym ryzykiem.

- Z ryzykiem? - Straciwszy zainteresowanie zawartością różowego folderu, odwzajemnił uśmiech Amy.

- Zdecydowanie. Mam kilku klientów, którzy przysięgają, że są od niego uzależnieni. Nie chciałabym, abyś poszedł w ich ślady. Bo jak wytrzymasz w Nowym Jorku?

- Nie dostarczasz klientom ciast do domów?

- Dostarczam, ale tylko w promieniu piętnastu kilometrów od stolika, przy którym teraz siedzisz.

- Hm, to mógłby być problem. Z drugiej strony...

Patrzyła na niego wyczekująco.

- Z drugiej strony całe życie podejmuję ryzyko. Moja praca polega na nieustannych wyzwaniach. A więc... - Zniżył głos. - Panno Edler, czy zechce mnie pani poczęstować swoim słynnym tortem?

Uśmiech rozjaśnił jej twarz, a Jared poczuł bicie własnego serca. Miał wrażenie, jakby reszta świata przestała istnieć. Jakby unosili się w przestrzeni. Tylko we dwoje. On i ona razem, a wokół pustka. Znikła kuchnia, znikły piece...

Nagle czyjś głos wdarł się w ciszę:

- Amy! Ruszam na górę. Dziewczyny już przyszły. Pa, do zobaczenia!

Amy oderwała wzrok od Jareda.

- W porządku, Trixi.

Czar przysł. Znów siedzieli w kuchni.

- Przez godzinę moje mieszkanie będzie niedostępne. Trixi bierze prysznic. - Amy zgarnęła puste kubki po kawie i nalała wodę do szklanek. Unikała wzroku Jareda. - Muszę wracać do pracy, upiec kilka bochenków chleba. Ale możemy w trakcie omówić listę przygotowań...

Skinąwszy głową, Jared instynktownie przysunął krzesło w stronę stołu, przy którym zaczęła ugniatać ciasto. Czuł nieprzewartą potrzebę być jak najbliżej tej dziewczyny. Wyciągnął przed siebie nogi. Zamierzał spytać o dekoracje stołu, gdy raptem rozległ się potworny huk. Odruchowo zerknął do góry, zastanawiając się, na ile solidny jest sufit i czy przypadkiem lada moment Trixi do nich nie dołączy.

- Nic mi nie jest! - dobiegł z piętra głos.

Jared popatrzył na Amy, która wzruszyła ramionami.

- No dobra, zżera mnie ciekawość. Dlaczego urocza panna Trixi korzysta z twojego prysznicza?

Amy westchnęła cicho.

- Bo tam, gdzie mieszka - odparła, nie przerywając ugniatania ciasta - prysznic nie działa od kilku tygodni. Właściciel domu stale wynajduje jakieś powody, dlaczego nie można go naprawić.

- Znam takie typy. Próbują zyskać na czasie i opóźnić remont.

- No właśnie. Problem polega na tym, że mama Trixi jest osobą niepełnosprawną, porusza się na wózku inwalidzkim, a mieszkanie jest jednym z niewielu przystosowanych do potrzeb takich ludzi. Właściciel doskonale o tym wie. Czyli Trixi z matką albo muszą pogodzić się z niedziałającym prysznicem, albo mogą się wyprowadzić.

Ponownie westchnęła, tym razem głośniej, i zaczęła z całej siły walić pięścią w ciasto.

- Biedna dziewczyna codziennie myje matce plecy, używając ściereczki i miski z ciepłą wodą. Porządną kąpiel matka bierze raz w tygodniu, w soboty, w ośrodku zdrowia. Trixi potwornie się o nią martwi. Nawet nie może myśleć o dalszej nauce, o studiach, bo kto się zajmie matką?

- Robi coś w tej sprawie?

- Pracuje na dwóch etatach, żeby zarobić na ich utrzymanie. Wydzwania po różnych organizacjach pomagających niepełnosprawnym. Rozmawia z przedstawicielami miejscowej władzy. Jest zbyt dumna, żeby prosić mnie o pieniądze, ale kontaktowałam się z pewną grupą ludzi, którzy może coś wymyślą. Cała ta sytuacja doprowadza mnie do wściekłości!

Jared wskazał głową na ciasto, w które waliła.

- Może już starczy? - spytał. - Nie widzisz tej białej chorągiewki?

Amy wybuchnęła śmiechem.

- Im mocniej uderzasz, tym lepiej ciasto rośnie. Temu potrzeba jeszcze z pięć minut maltretowania. To najlepszy sposób na pozbycie się napięcia. Chodź, spróbuj. Przecież widziałam ten grymas na twojej twarzy. Ciągłe zgrzytasz zębami. No, wstawaj.

- W tym ubraniu?

Powiodła spojrzeniem po jasnoniebieskiej koszuli i džinsach.

- Pożyczę ci fartuch. Rozmiar odpowiedni dla mężczyzny.

Wytarłszy rece, sięgnęła po wiszący na ścianie granatowo-biały fartuch rzeźniczy.

- Mówisz serio? Chcesz, żebym walił w tę lepka masę?

Okrażyła stół i pomachała mu fartuchem przed twarzą.

- No pewnie. Im szybciej tu skończę, tym szybciej przystąpimy do przygotowań weselnych. A przy okazji rozładujesz emocje. Masz taką minę, jakbyś chciał komuś przywalić. Więc pomyśl o kimś, kto ci się naraził, i...

- O kimś, kto mi się naraził, powiadasz?

- Na przykład o pięknej Clarissie, która w tej właśnie chwili leży na tropikalnej plaży, trzymając w ręku kieliszek z papierową parasolką.

Puścił wodze wyobraźni. Bez słowa wyciągnął rękę po fartuch. Znów zaczął zgrzytać zębami, a przecież za wizyty u dentysty płaci się majątek. Popatrzył na Amy, czekając, aż ona parsknie śmiechem. Ona tymczasem skinęła zachęcająco głową.

- Doskonale. Wyglądasz jak rasowy kucharz. Zlew jest za tobą. Umyj ręce, potem chodź tu i wal. Zobaczysz, jaka to świetna zabawa...

Przerwał jej telefon. Przeprosiwszy Jareda, odeszła w kąt, by spokojnie porozmawiać.

Świetna zabawa? On miał inną koncepcję świetnej zabawy.

Próbował naśladować Amy, ale ciasto lepiło mu się do palców. Ilość na stolnicy zmniejszała się, ilość zwisająca z rąk stawała się coraz większa. Amy natomiast wciąż była zajęta rozmową przez telefon. Spoglądając na grudy ciasta między palcami, zaklął pod nosem. Co? On, Jared Shaw, miałby sobie nie poradzić z uformowaniem gładkiej lśniącej kuli? Z nową energią przystąpił do pracy.

Usłyszał z boku jakiś hałas. Amy podeszła do stołu, przy którym zmagął się z oporną materią. Stała z ręką przyciśniętą do ust, próbując powstrzymać się od śmiechu.

- No dobra, możesz się śmiać. Przecież widzę, że mi nie wychodzi.

- Zamierzałam udzielić ci paru wskazówek, zanim zaczniesz. Mąka. Trzeba nasypać sporo mąki. A ciasto ugniata się całą dłonią, nie samymi palcami. Wyrzućmy to wszystko i zacznijmy od nowa.

Oczyściwszy stolnicę, położyła na niej dwa świeże kawałki ciasta.

- Na razie stój i obserwuj. Wkrótce zorientujesz się, co i jak.

Wsypała trochę mąki na stolnicę, uniosła prawą rękę i wskazała na miękką poduszczkę koło nadgarstka. Przycisnęła ją do ciasta, a potem lekko rozciągnęła.

- Widzisz? Gnieciemy i rozciągamy. Potem zwijamy i powtarzamy manewr. Teraz twoja kolej.

Położywszy rękę na jego lewej dłoni, zaczęła wykonywać te same ruchy co wcześniej. Kiedy po chwili chciała cofnąć rękę, Jared przykrył ją swoją prawą dłonią. Nie przerywał ugniatań. Amy zdziwiona popatrzyła w bok i nagle poczuła zapach jego koszuli, zapach ciała spryskanego drogą wodą po goleniu, zapach Jareda. Wonny i upajający.

Popatrzyła mu w oczy. Błąd.

Przyglądał się jej badawczo. Intensywnie. Oczy miał niebieskie, błękitne niczym niebo w pogodny dzień.

Czuła się tak, jakby wpatrywała się w bezdenną toń oceanu i widziała w niej swoje odbicie. Nie potrafiła jednak odwrócić wzroku.

- Zauważyłaś, że jestem leworęczny? - szepnął.

Skinęła głową. Bała się odezwać. Działał na nią hipnotycznie.

- Większość ludzi tego nie dostrzega.

Opuszkami palca starł jej z policzka mąkę.

Jego dotyk był tak przyjemny, tak delikatny, że z trudem się powstrzymała, aby nie zamknąć oczu.

- Jak mi idzie? - zapytał.

Oboje wiedzieli, że Jared nie pyta o zdolności kulinarne.

- Przykro mi, muszę skończyć lekcję. Mam pilną robotę.

Odsunąwszy się na bok, Amy chwyciła ciasto i z furią zaczęła je ugniatać.

- Mojej stałej klientce, która urządza dziś przyjęcie urodzinowe, przydarzyło się małe nieszczęście. Możesz mi podać sitko do mąki? Dzięki.

- Małe nieszczęście...?

- Jedna z jej podopiecznych rozstała się wczoraj z chłopakiem. Żeby się pocieszyć, w nocy, kiedy wszyscy spali, zjadła cały tort urodzinowy i większość ciastek. W ciągu dwóch godzin muszę upiec nowe ciasteczka i nowy tort czekoladowy dla dwudziestu małych dziewczynek. - Zerknęła na Jareda. - Halo? Słyszysz, co mówię?

- Magia - odrzekł, patrząc, jak lepka masa na stolnicy zamienia się w idealną kulę.

- Magia magią, ale czy mogę coś zasugerować?

- Oczywiście. To twoja kuchnia.

Amy wskazała na różowy folder, który Jared porzucił, aby zabawić się w cukiernika.

- Byłoby dobrze, gdybyś odwiedził studio tego fotografa, który nie odbiera telefonu, i dowiedział się, czy będzie robił zdjęcia na ślubie Lucy.

- Jasne, nie ma sprawy. W drodze powrotnej kupię nam po kawie.

- Doskonale. A teraz sio! I uśmiechnij się.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Było późne popołudnie, kiedy Jared z dwoma kubkami kawy i ponurą miną przeszedł przez ruchliwą ulicę. Od Edlers dzieliło go zaledwie pół przecznicy.

Okazało się, że zamówiony fotograf otrzymał ofertę pracy przy kręceniu filmu dokumentalnego o żyjących w Mongolii dzikich wielbłądach. Owszem, przyjął zlecenie na ślub Shaw-Gerard, ale ponieważ pojawiła się możliwość wyjazdu do Mongolii, poprosił innego fotografa, żeby go zastąpił. Czy Clarissa nikogo o tym nie poinformowała?

Przynajmniej pogoda była fantastyczna. Jared czuł napięcie w mięśniach, dlatego postanowił wrócić do Edlers na piechotę. Może Amy ma kawałek ciasta, na którym mógłby się powyżywać?

Niesłusznie zaszufładował Amy jako znudzonego bankowca, który poświęca się swojemu hobby. To nie było hobby, to była pasja. Przekonał się o tym dziś rano, kiedy obserwował jej relacje z klientami.

Jakim cudem sama sobie ze wszystkim radzi? Lucy uważała, że on jest pracoholikiem. Jak wobec tego nazwać kogoś takiego jak Amy? Może wieczorem padała bez sił, wykończona? Chociaż raczej w to wątpił.

Już od rogu zobaczył strumień klientów wchodzących do cukierni. Ich głosy zagłuszał hałas uliczny.

Jako spec od budownictwa i nieruchomości zastanawiał się, co by można zrobić, aby zmodernizować Edlers. Nowoczesne drzwi i okna przypuszczalnie zwiększyłyby obroty... Podsunie Amy ten pomysł. Taka inwestycja na pewno by się opłaciła.

Tyle że większe obroty oznaczałyby więcej pracy, a Amy zasuwała w kuchni za co najmniej dwie osoby, w dodatku sprawy papierkowe też są na jej głowie. Musiałaby zatrudnić kilka osób. Przydałby się też parking...

Jared wszedł na tyły cukierni, tam gdzie podjeżdżali dostawcy. I wybałuszył oczy. Na niedużym placyku stała najbardziej pordzewiała furgonetka, jaką można sobie wyobrazić. Przerwany warkot wydobywający się spod maski świadczył o fatalnym stanie silnika, a kłęby czarnego dymu buchającego z rury wydechowej nie pozostawiały wą-

pliwości, że pojazd jest na ostatnich nogach. Za kierownicą siedziała Amy z twarzą czerwoną z wściekłości.

Starając się nie okazywać przerażenia, jakie wzbudził w nim widok rozpadającej się białej furgonetki, Jared zastukał uprzejmie w szybę.

- Madame? Może kawy? I może nowy silnik?

Amy mruknęła coś pod nosem w języku, którego nie rozumiał.

- Dziękuję - powiedziała, usiłując wrzucić pierwszy bieg. - Ale nie teraz. Mam w bagażniku trzydzieści lukrowanych babeczek i wielki tort urodzinowy, który za pół godziny musi znaleźć się sześć przecnic stąd, inaczej pewna ośmioletnia dziewczynka będzie niepokieszona, a personel zawiedziony. Więc sam napij się kawy, a ja moją później wypiję.

Silnik zawarczał, zaskrzypiał i zgasł.

- Kiedy później? - spytał Jared.

Amy walnęła pięścią w tablicę rozdzielczą.

- Szlag by to trafił! Hannah jest nieodzowną częścią tej cukierni! Badanie techniczne przeszła dziesięć miesięcy temu!

Kilka razy przekręciła klucz w stacyjce. Na jej twarzy złość mieszała się z frustracją.

- No, staruszeko, pokaż, jaka jesteś dzielna. Nie odmawiaj mi posłuszeństwa, zwłaszcza w obecności mężczyzny.

Jared ugryzł się w język. Nie był to odpowiedni moment na dowcipy o kobietach i samochodach. Amy była zdesperowana. Prowadziła biznes i musiała dostarczyć zamówienie.

- Nie ruszysz - stwierdził autorytatywnym tonem. - Nic nie działa. Akumulator, głowica, świece, tłumik, skrzynia biegów. Pewnie elektryka.

Odpięła w milczeniu pas. Spodziewał się pytania typu: Niby skąd ty to wszystko wiesz? Wtedy musiałby jej wytłumaczyć, jak przed laty, po szkole, pracował u Franka w najmniejszym warsztacie samochodowym w całym Londynie.

Lecz Amy spytała jedynie:

- Mówisz serio?

W odpowiedzi skinął głową.

- To znaczy, że silnik nie zaskoczy?

Tym razem pokręcił głową.

Oparła czoło o kierownicę, zamknęła oczy i cichutko zaszlochała. Zastanawiał się nerwowo, co powiedzieć.

- Możesz sprzedać tablice rejestracyjne, na EDL1 znajdują się chętni, i kupić sobie jakieś porządne auto.

Wyprostowała się.

- Czyś ty oszalał? To jest Hannah, nasza oryginalna furgonetka! Nie mam zamiaru jej sprzedawać! Skup się, panie Shaw, i albo coś wymyśl, albo wzywam taksówkę!

- Już dobrze. Mój samochód stoi za rogiem. Ma wielki bagażnik, z którego prawie nigdy nie korzystam. Zdamy zawieźć ciasta i wrócić, zanim kawa wystygnie.

Amy spojrzała na zegarek i skinęła głową.

- Zgoda. Ten jeden raz. Bo jest sobota, a mnie się bardzo śpieszy. Dziękuję...

- Drobiazg.

Sięgnął do klamki, chcąc otworzyć drzwi, ale klamka była urwana. Przez chwilę stał, patrząc, jak Amy głaszcze tablicę rozdzielczą i czule przemawia do auta.

- Nie przejmuj się, Hannah. On cię nie chciał obrazić. A ja niedługo wrócę i się tobą zajmę.

Miał wrażenie, że uczestniczy w jakimś szaleństwie. Kręcąc głową, cofnął się parę kroków, zostawił w kuchni kubki z kawą, po czym wyszedł na ulicę.

Czekając, by przejść na drugą stronę, wyciągnął z kieszeni telefon komórkowy.

- Frank, potrzebuję twojej rady... Wiem, wiem. Kto ma najlepsze furgonetki dostawcze w mieście? Amy Edler potrzebuje na gwałt nowej. Aha, jeszcze jedno, Frank. Pewna starsza dama o imieniu Hannah marzy o tym, abyś rozebrał ją na części.

- Ashcroft Grove. Trzecia w prawo.

- Ashcroft? - Jared poruszył się niespokojnie na siedzeniu, jakby ciepłe skórzane obicie go parzyło. - Dawniej na Ashcroft znajdował się dom dziecka.

- Właśnie tam jedziemy.

- Do domu dziecka?

- Tak. Swoją drogą dziwne, że go pamiętasz. Po tylu latach...

- Kiedyś mieszkało tam około trzydziestu dzieciaków. Tylko mi nie mów, że codziennie dostarczasz im świeże bułeczki?

- Nie, skądże. Obecnie Nell ma ze dwadzieścia podopiecznych w wieku od siedmiu do siedemnastu lat. Dziś jedna z nich obchodzi ósme urodziny. Chciałam, żeby przynajmniej raz w życiu mogła zaprosić koleżanki ze szkoły i poczęstować je tortem.

- Nell? - spytał Jared. - Nell Waters? Kierowała tym domem przed laty. Nie przeszła na emeryturę?

- I nie przejdzie. - Uśmiechając się szeroko, Amy oparła nogi o tablicę rozdzielczą.

- Przyjaźnimy się. To ona wpadła na pomysł piątkowych spotkań w mojej kuchni. Dziewczynki uwielbiają te zajęcia. Zdradzę ci w tajemnicy - dodała szeptem - że ja też. Mimo bałaganu, jaki po sobie zostawiają.

- Czy Nell... - Jared zwolnił - będzie dziś na tym przyjęciu urodzinowym?

- Nie, niestety. Ale bardzo jej smakowały babeczki, które dziewczynki wczoraj dekorowały lukrem.

- Czyli ten wczorajszy bajzel...

- Tak, to ich robota. - Oczy zaszklily się jej łzami. - To naprawdę wspaniałe dziewczynki. Pragną jedynie pokazać, że nie są gorsze od innych dzieci. Że też potrafią osiągnąć wymarzony cel.

Jared skręcił w Ashcroft Grove.

- Lucy ani razu nie wspomniała, że przebywałaś w domu dziecka.

Amy opuściła nogi na podłogę i obróciła się, jakby za szybą dojrzała coś niezwykle fascynującego.

- Bo nigdy jej o tym nie mówiłam. Nikomu nie mówiłam. - Ściągnęła brwi. Siedziała spięta, na jej twarzy malował się wyraz bólu. - Przyznaj się, Jared, skąd wiesz? Sam na to wpadłeś? Czy to takie oczywiste?

- Dla mnie tak - odparł, wpatrując się przed siebie. - Wszystko słyhać w twoim głosie. Z taką tkliwością mówisz o Nell i jej małych podopiecznych.

Westchnąwszy cicho, Amy zaczęła oglądać swoje paznokcie.

- Spędziłam w Ashcroft pół roku, zanim zaadoptowała mnie Maria Edler. Tych sześciu miesięcy nigdy nie zapomnę.

- Ile miałaś lat, kiedy straciłaś rodziców?

Wyprostowała się.

- Dwanaście. Ale nie mówmy o tym. Wolę porozmawiać o ślubie i weselu Lucy. O sprawach, których nie ma na liście Clarissy.

Nie chciała wracać do przeszłości. Rozumiał ją. Wiedział, jak trudnym przeżyciem jest pobyt w domu dziecka.

- A co konkretnie panią interesuje? - spytał lekkim tonem.

- Na przykład, jaki toast zamierza wygłosić brat panny młodej? Czy bardzo się denerwuje? - Poruszyła zabawnie brwiami. - I rzecz najważniejsza...

- Aż się boję spytać.

- Czy brał lekcje tańca?

Roześmiał się pod nosem.

- Dobra, dobra. Dziś rano bardzo dokładnie przejrzałem listę. Nie ma ani słowa o jakimkolwiek zespole muzycznym. Czyli tańce nie są w planach.

Amy zamyśliła się.

- Zespołu faktycznie nie zamawialiśmy. Ale jeśli się nie mylę, na liście figuruje didżej.

Jared zaczął bębnić palcami o kierownicę.

- Musiała to zrobić, prawda? Specjalnie, żeby mnie upokorzyć!

Zaparkował przed dużym murowanym budynkiem, przed którym dzieci biegały po trawie, grając w piłkę.

- Powinienem był zapłacić Mike'owi, żeby porwał moją siostrę i wziął z nią ślub na jakiejś tropikalnej plaży. Czy to już koniec niespodzianek, panno Edler, czy jeszcze ma pani coś w zanadrzu?

Rozpoznawszy pasażerkę w aucie, kilkoro dzieci ruszyło pędem w stronę bramy.

- Och, mam ich mnóstwo - odparła Amy. - A teraz wysiadamy. Ty niesiesz tort i pilnujesz, aby w jednym kawałku dotarł do celu.

Dwie godziny później Jared jechał bocznymi ulicami, starając się spowolnić bicie serca.

- Powiedz, że nie musisz tego robić co tydzień. Te małe potworki niemal wyrwały mi paczki z rąk. Nie sądziłem, że praca cukiernika może być tak niebezpieczna.

- Nie było najgorzej. I dzięki za pomoc. Wysoki wzrost ma niezaprzeczone zalety; przynajmniej tort w całości dotarł do stołu. - Na moment zamilkła. - Dzieci były zachwycone, że się z nimi bawiłeś.

- Siniaki znikną mi za tydzień albo dwa.

Amy popatrzyła na kolana Jareda i aż się skrzywiła.

- Może w pralni chemicznej usuną ci sos truskawkowy ze spodni. Ale przynajmniej dostałeś opaskę na oko, żeby wyglądać jak prawdziwy pirat. Tylko przykro mi, że nawet nie spróbowałeś tortu.

- Skoro mowa o torcie... może wstąpilibyśmy coś przegryźć? Umieram z głodu.

- Tak? Mimo kanapeczek, jakie dziewczynki przygotowały? - Amy pokręciła ze śmiechem głową. - Wieczorem wychodzę, ale drobna przekąska... Hm, może jajecznicą z wędzonym łososiem na grillowanej bułce?

- Wspaniale! Mów, gdzie mam jechać.

- Znam taką uroczą małą cukierenkę, bardzo ekskluzywną. Och, nie miej takiej miny! Potrafię gotować.

- No dobrze. Przynajmniej wiem, że bułka będzie pyszna. - Zerknął we wsteczne lustro. - Kim jest ten szczęśliwiec?

- Słucham?

- Powiedziałaś, że wychodzisz wieczorem. Należy ci się odpoczynek w miłym towarzystwie.

- Wybieram się na bal charytatywny, podczas którego będą zbierane pieniądze na prowadzony przez Nell dom dziecka. A jeśli chodzi o szczęśliwców, to nie jestem związana. A ty, Jared? - zapytała, starając się nadać głosowi neutralne brzmienie. - Umówiłeś się dziś na randkę?

Zmieszał się.

- Ja? Nie. - Patrząc przed siebie, zmrużył oczy. - O, znajoma ulica...

- Pewnie, że znajoma. Stąd jest pięć minut drogi do Edlers. Musiałeś nią przejeżdżać kilkakrotnie.

- Skoro już tu jesteśmy... Poświęcisz mi parę minut? Chętnie usłyszę twoje zdanie na temat nowego bistro. Lokal przekazujemy klientowi równo za trzy tygodnie.

Spojrzała na swoje ubranie noszące ślady brudnych, lepkich rączek.

- Chyba nie jestem odpowiednio ubrana...

Zmierzył ją wzrokiem.

- E, bez przesady - skwitował. - Kupiłem tę nieruchomość ponad osiem miesięcy temu, ale dopiero niedawno zrobiliśmy remont. Lucy zajmuje się dekoracją wnętrza, to jej domena. Chcę zobaczyć, jak prace postępują.

- Rozumiem. Wydajesz na odległość polecenia, a twój miejscowy przedstawiciel pilnuje, aby wszystko zostało prawidłowo wykonane.

- Zgadłaś. Lucy zależy, żeby zakończyć wszystko, zanim ruszy w podróż poślubną.

Zaparkował samochód przed piętrowym budynkiem. Podjazd zawałony był kontenerami z gruzem, tu i ówdzie leżały połamane deski i plastikowe worki.

Przez chwilę siedzieli w aucie, spoglądając w milczeniu na plac budowy. Na przybitej do słupa tablicy widniała informacja, że teren należy do „Spółki dewelopersko-budowlanej Haywood-Shaw”.

Amy pierwsza przerwała ciszę.

- Kiepsko to wygląda. Sprawdźmy...

Skinął głową. Nie odzywając się, otworzył drzwi i pomógł Amy wysiąść. Jego oczy ciskały błyskawice. Amy modliła się, aby wewnątrz było pięknie.

Jared przekręcił klucz w solidnych drewnianych drzwiach. Wcześniej zajrzał do środka przez otwór w plastikowej płachcie zasłaniającej okna.

Wewnątrz nie było pięknie. Ekipa wynajęta przez firmę Haywood-Shaw zakończyła pracę na weekend; fachowcy poszli do domu, zostawiając za sobą straszny bałagan.

Jared zamknął drzwi. Znaleźli się w przestronnym holu. Podłoga przykryta była płachtami; na nich stały puszki po farbie i rozpuszczalniku, plastikowe wiadra pełne szmat i pędzli; dwie duże drabiny blokowały przejście do dalszych pomieszczeń.

Amy obejrzała się przez ramię. Jared wpatrywał się w sufit. Skierowała tam wzrok. Zobaczyła sztukaterię w jasnobrązowym kolorze.

- Jaki kolor Lucy wybrała?

- Kiedy ostatni raz rozmawiałem z malarzem, mówił, że ma być kość słoniowa. Wcześniej miał być jasny błękit. Jeszcze wcześniej kolor perlisty.

- Kość słoniowa na pewno jest na ścianach, ale sztukateria raczej ma odcień kawy z mlekiem niż beżu. Chyba trzeba porozumieć się z Lucy... Mogę zwiedzić resztę?

- Pewnie. - Wyjął z kieszeni telefon. Psiakrew. Lucy zawsze się wszystkim chwaliła, jak to starszy brat ją rozpieszcza. Teraz jednak się nie popisał.

Amy przeszła dalej, do głównej sali jadalnej. Przez ogromne okna, mimo że były przysłonięte plastikiem, wpadało mnóstwo światła. Wystarczy powiesić zasłony, położyć wykładzinę na podłodze, wstawić meble... Puściła wodze fantazji.

Wędrując przed siebie, skręciła w prawo i zamarła w pół kroku. Jej oczom ukazała się kuchnia. Ogromna. Przynajmniej tak duża jak hol prowadzący do sali restauracyjnej. W dodatku lśniąca czystością. Tylko trzy kubki w zlewie świadczyły o tym, że ktoś tu wcześniej był.

Minęła próg, zaczęła zaglądać do szafek oraz szuflad. Sprzęt najwyższej jakości. Wielka spiżarnia. Dwie zmywarki. A ile kuchenek i piekarników! Dwa okienka do wydawania posiłków. Aż zapiszczała z zachwytu.

Promień światła przeciskał się przez szparę w czarnej płachcie zasłaniającej drugie drzwi. Pokusa była zbyt silna. Amy zerwała taśmę, przekręciła klucz i wyszła na przepiękne patio, które łączyło się z ogródkiem pełnym krzewów i kwiatów. Wyobraziła sobie gości, którzy w ciepły letni dzień siedzą na wiklinowych fotelach, spożywając posiłek. Dalej, w ogródku, bawią się dzieci; rodzice są spokojni, nie denerwują się, że syn lub córka wbiegnie na jezdnię.

Tego najbardziej brakowało jej w Edlers. Marzyła o ogródku, w którym mogłyby po szkole przesiadywać odwiedzające ją dziewczynki.

Westchnęła cicho. Takie miejsce na pewno spodobałoby się córce, której jeszcze nie miała.

Usłyszawszy za plecami hałas, obróciła się. Przez wielkie okno ujrzała wnętrze sali restauracyjnej. I nagle odniosła wrażenie, jakby cofnęła się w czasie do innego kraju, do innej sali. Czerwone kotary chroniły klientów przed promieniami słońca, które wdzierały się do środka mimo wiszącej na zewnątrz czerwonej markizy. Wnętrze oświetlały kryształowe żyrandole. Ich blask odbijał się od kremowych płytek na podłodze, od lśniących ciemnych mebli i lustra zajmującego całą ścianę.

Niemal widziała biznesmenów czytających prasę, eleganckie damy pijące wyborną czekoladę, zakochanych młodzieńców wpatrzonych w swe wybranki, mężczyznę przy okrągłym marmurowym stoliku, który z zapalem coś notuje.

W powietrzu unosi się cichy szum rozmów oraz zapachy świeżo zmielonej kawy, czekolady, perfum, wypieków, dymu papierosowego. Ta cudowna wiedeńska kawiarnia istniała naprawdę. A ona, Amy, była tam razem ze swoimi adopcyjnymi dziadkami.

Uśmiechając się do wspomnień, przełknęła łyżę, które podeszły jej do gardła. Od wielu miesięcy nie myślała o tamtych wakacjach.

Na dźwięk kroków zerknęła w stronę kuchni. W drzwiach ukazał się Jared.

- Moja kochana siostrzyczka znów zmieniła zdanie. Poprosiła malarzy, żeby wstrzymali pracę, dopóki sama wszystkiego nie obejrzy w naturalnym świetle. Ekipa sprzątaczy zaczyna w poniedziałek. Może się jeszcze wyrobimy... - Podeszedł do Amy, która nie ruszyła się z miejsca. - Jak wrażenia?

Podniósłszy wzrok, uśmiechnęła się szeroko.

- To miejsce jest magiczne! A kuchnia i patio... po prostu brak mi słów! Strasznie mi się tu podoba!

Usiadła na podłodze i oparła plecami o nagrzaną słońcem ścianę.

- Mogę sobie chwilę posiedzieć?

- Póki lokal należy do mnie, możesz siedzieć tak długo, jak tylko zechcesz. Cieszę się, że ci się podoba.

- Nawet nie wiesz, jak bardzo!

Pociągnęła go za rękę. Usiadł koło niej.

- Dziesięć lat temu spędziłam z moją adopcyjną rodziną cudowne dwa tygodnie w Austrii. Najpierw w Salzburgu, potem w Wiedniu. Ach, Wiedeń. - Westchnęła błogo. -

Wiedeń odmienił moje życie. Po Wiedniu zrozumiałam, dlaczego Edlerowie tak ciężko pracują, marząc o tym, aby kiedyś otworzyć własną kawiarenkę.

- Dlatego kupiłaś ich starą cukiernię?

- Tak. Maria Edler była siostrą Waltera Edlera. W każdą sobotę przychodziłyśmy tu; ja się bawiłam, ona prowadziła księgi rachunkowe. Mam nadzieję, że kiedyś sama otworzę kawiarnię w stylu wiedeńskim i zaproszę rodziców na uroczyste otwarcie. To by było coś!

Jared nic nie powiedział, po prostu sięgnął po jej rękę.

Oparła głowę o ścianę i z trudem przełknęła ślinę. Bała się, że za moment łzy pociekną jej po twarzy. Myśl o czymś innym, przykazała sobie w duchu.

Ucichł ruch uliczny. Miejsce klaksonów i wycia silników zajął śpiew ptaków. Przeskakiwały z gałęzi na gałąź. Zapach kwiatów wypełniał powietrze.

Zacisnąwszy powieki, Amy wyobraziła sobie, że mieszka na górze, a na parterze pracuje. W swojej nowej kawiarence. Czasem uchyla drzwi i wychodzi na patio, a z niego do ogrodu, w którym bawią się dzieci.

Może kiedyś spełnią się jej marzenia, może taki dom stanie się jej własnością.

Kiedy Jared przesunął się, zmieniając pozycję, wróciła do rzeczywistości. Czeka ją jeszcze mnóstwo pracy! Uwolniła dłoń. Słońce powoli opadało. Marzenia...

- Muszę wracać. Ale ta chwila na słońcu... co za rozkosz. - Uśmiechnęła się. - Wiesz, Jared, zazdroszczę twojemu klientowi. Będzie miał wspaniały lokal. - Wstając, nagle zapiszczała z bólu.

- Co się stało? - spytał zaskoczony.

- Nic. Chyba drzazga. - Łzy zakręciły się jej w oczach.

- Pokaż. No, pokaż.

Chwycił jej dłoń.

- Cholera, powinienem był tu przyjść z samego rana! Strasznie cię przepraszam.

- Chyba przeżyję. Nie masz przypadkiem pęsety? - Widząc zdumienie w jego oczach, parsknęła śmiechem. - Głupie pytanie. Wyciągnę ją później. Co? - spytała, bo Jared potrząsał głową.

- Nie później, tylko teraz. I sam się tym zajmę - odrzekł. - Kiedyś byłem specem od drzazg. Moja kochana siostrzyczka uwielbiała łązić po drzewach... Czy mogłabyś na moment przestać się wiercić? Świetnie. Gotowa?

Wzięła głęboki oddech, oparła się o ścianę i nastawiła psychicznie na ból. Zamiast bólu poczuła dotyk palca, leciutki niczym muśnięcie wiatru, który wędrował środkiem jej dłoni. Wciągnęła z sykiem powietrze, a Jared znieruchomiał.

- Jeszcze moment. O, i po kłopotcie.

Potań kciukiem obolałe miejsce, a ona poczuła dreszcz. Rusz się, głupia! Wracaj do pracy! Co tu jeszcze robisz?

Wyszarpnęła rękę i podniósłszy ją do oczu, udała, że sprawdza, czy wszystko jest w porządku. Bała się spojrzeć na Jareda, który stał tak blisko. Za blisko.

Czuła zapach jego skóry. Silny, nęcący.

Powinna wziąć się w garść. Musi wrócić do cukierni. Do swojego sanktuarium. I na jakiś czas - dopóki nie upiecze tortu i goście weselni nie odlecą do Stanów - wyłączyć emocje, zamrozić serce. Nie chce się zakochać i być porzucona. Musi chronić się przed miłością.

Popatrzyła na zegarek.

- Dziękuję, że mi pokazałeś to miejsce. I ten wspaniały ogród. - Nagle wspięła się na palce i przytknęła wargi do policzka Jareda. - A przede wszystkim dziękuję za cudowne wspomnienia.

Oszołomiony, przez moment stał bez ruchu.

- Cała przyjemność po mojej stronie - szepnął.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Nie zwracając uwagi na błysk fleszy, poprawił mankiety koszuli i swobodnym krokiem wszedł po czerwonym dywanie do sali balowej w londyńskim hotelu, uśmiechając się do dziennikarzy.

Tylko jedna osoba na świecie mogła go namówić, aby zawitał ponownie w Londynie.

Nell Waters. Ta sama Nell, która prowadziła dom dziecka. Ten dom dziecka, który odwiedził dziś z Amy. Sądził, że się przesłyszał, kiedy Amy wymówiła jej imię. Przecież nie mogła wiedzieć, że to właśnie Nell Waters dwadzieścia lat temu, jako pracownica społeczna, zajmowała się rodziną Shawów.

Była to jedyna osoba, której Jared ufał i której się bał. Zdawał sobie sprawę, że wystarczy drobny błąd, bałagan w domu albo opuszczenie lekcji, aby jego świat legł w gruzach.

Matka harowała od świtu do nocy, aby zarobić na utrzymanie rodziny. Nie miała wyjścia. Ojciec siedział w więzieniu; wszystkie oszczędności wydał na hazard i narkotyki.

Nell przychodziła sprawdzać, czy Lucy i jej starszemu bratu niczego nie brakuje. Pomagała im, jak tylko mogła. W końcu sama przyznała, że nastoletni Jared troskliwiej opiekuje się siostrą niż większość matek swoimi dziećmi.

Problemem była jego edukacja.

Chłopak ciągle myślał o tym, czy zdąży odebrać siostrę ze szkoły, potem robił w domu pranie, szykował kolację, dbał o to, aby i on, i Lucy zawsze byli czysti i nakarmieni. Obowiązki sprawiały, że często na lekcjach przysypiał.

Kiedy matka zachorowała na zapalenie żołądka, Jared poddał się. Nie dawał rady opiekować się rodziną, a jednocześnie chodzić do szkoły i odrabiać lekcji. Tak więc najzdolniejszy uczeń w klasie coraz częściej zaniedbywał naukę. Nie zdziwiło nauczycieli, gdy oznajmił, że nie wybiera się na studia, i zatrudnił się u Franka Richarda, który na parterze ich domu prowadził warsztat samochodowy.

Wszyscy wiedzieli, że stać go na więcej, że mycie i naprawa aut nie zaspokaja jego ambicji. On jednak chciał zapewnić siostrze jak najlepszy byt.

Nell nigdy go nie zawiodła. O ileż łatwiej byłoby jej umieścić jego i Lucy w rodzinach zastępczych, ale ani razu o tym nie wspomniała. Wierzyła, że Jared z matką sobie poradzą i uczynią wszystko, by mała Lucy miała kochający dom. Nie pomyliła się. Jared pilnował, żeby nigdy nie zabrakło jedzenia na stole. To Nell Waters załatwiła mu pierwszą pracę w budownictwie...

Ona się wcale nie zmienia, pomyślał, patrząc na pulchną kobietę, która stała przy wejściu, osobiście witając gości. Uniósł jej rękę do ust.

- Dobry wieczór, panno Waters. Czy wolno mi powiedzieć, że ilekroć ją widzę, wygląda pani coraz piękniej?

Pocałowała go w policzek.

- Komplementarz z ciebie, Jared. I kłamczuszek. Ale nie szkodzi. Jeszcze raz bardzo dziękuję, że zechciałeś wesprzeć naszą akcję.

- Och, Nell, przecież wiesz, że wszystko bym dla ciebie zrobił. Swoją drogą słyszałem plotki, że zamierzasz przejść na emeryturę. Pewnie rozsiewają je ci nadęci urzędnicy, których codziennie zadręczasz żądaniami?

- Nie, kochanie. Po prostu jestem stara i nie mam tyle siły co dawniej. Dzieciakom potrzebny jest ktoś młodszy i bardziej prężny. Ktoś, kto się zna na współczesnym świecie. - Popatrzyła nad okularami na Jareda i uśmiechnęła się kokieteryjnie. - Ktoś taki jak ty. Nie kusi cię zmiana?

- Co takiego? Chyba żartujesz! Nie wyobrażam sobie siebie w tej roli.

Kobieta potargała go lekko po włosach.

- Byłbyś fantastyczny - rzekła, po czym ścisnęła jego dłoń. - Zastanów się, Jared. Potrzebujemy takich ludzi.

- Mówisz serio?

- Jak najbardziej. Ale to nie miejsce ani pora na taką rozmowę. Wpadnij do mnie w przyszłym tygodniu, wtedy pogadamy. A teraz idź się bawić. - Puściwszy jego dłoń, podeszła do kolejnej grupki gości, która pojawiła się w wejściu.

Jared odsunął się na bok i wziął kilka głębokich oddechów. Miałby wrócić do dawnego piekła? Widzieć w oczach dzieci ból, strach i niepewność?

Nie rozumiał, jak Nell może mu coś takiego proponować. Nawet gdyby miał czas, na niewiele by się przydał.

Zresztą mniej więcej za tydzień opuszczał Londyn na dobre. Nie zamierzał więcej tu wracać.

Że mógłby działać na odległość? To mrzonki. Z Nowego Jorku wyjechał, pewien, że jego pracownicy dadzą sobie radę, ale trwało wiele lat, nim dorobił się zespołu, któremu ufał.

Najlepszy przykład miał dziś na terenie remontowanego bistro: jeśli na moment spuści się wzrok i pozwoli innym przejąć stery, katastrofa gotowa.

Rozejrzał się po wielkiej, jaskrawo oświetlonej sali. Politycy, sponsorzy, pracownicy społecznicy, dziennikarze. Miewał z nimi do czynienia w wyjątkowych sytuacjach, gdy to było absolutnie konieczne.

Nagle zatrzymał spojrzenie na ślicznej dziewczynie. Amy Edler. Ale to była inna Amy niż ta, z którą spędził pół dzisiejszego dnia. Dziewczyna, na którą teraz patrzył, miała na sobie suknię koktajlową w kolorze nocnego nieba, bez rękawów, z przodu pod samą szyję, z głębokim wycięciem na plecach. Wyglądała w niej niesamowicie seksownie.

Znał się trochę na modzie. Na tyle często kupował Lucy stroje najlepszych francuskich projektantów, że odróżniał oryginał od podróbki. Strój Amy zdecydowanie do podróbek nie należał.

Miała piękne ramiona. Niewątpliwie była to zasługa wielu godzin spędzanych codziennie na ugniataniu ciasta.

Suknia leżała idealnie, czarne jedwabne pończochy okrywały zgrabne nogi. Buty na wysokich obcasach jeszcze bardziej je wydłużały. Dziś Amy Edler stanowiła uosobienie atrakcyjnej kobiety biznesu. Właśnie tak przyjaciółkę ze studiów opisywała Lucy.

Ale on znał prawdziwą Amy. Dziewczynę, która kupiła dawną cukiernię i przekształciła ją w miejsce wyjątkowe. Dziewczynę, która robiła to, co najbardziej w życiu kochała. Która nie szła na żadne ustępstwa.

Jak często spotyka się takie osoby? Rzadko. Albo nigdy. Och, znał mnóstwo pięknych kobiet o wysokim ilorazie inteligencji, które twierdziły, że praca to ich pasja. Ale niewiele osób, mając lat dwadzieścia kilka, naprawdę wie, co chce w życiu osiągnąć.

On wiedział. Amy też wiedziała.

Może dlatego poczuł z nią tak silną więź.

Obserwował ją. Słyszał, jak odpowiada na pytania po francusku i w języku, który brzmiał jak rosyjski. Nic dziwnego. Studiowała języki obce.

Sądził, że Lucy popełniła błąd, kiedy wybrała na druhnę osobę, która zarabia na życie pieczeniem. Drugą druhną miała być siostra Mike'a. Ten wybór rozumiał. Bella była piękną, mądrą, utalentowaną dziennikarką. Ale Amy Edler? Lucy poznała ją na ostatnim roku studiów, kiedy zaczęła spotykać się z Mike'em Gerardem. No cóż... uznał, że siostra ma prawo sama decydować o swoich druhnach.

Skierował się do baru. Bał się, że inaczej nie przestanie wlepić w Amy oczu. Ona również tam przeszła. Pośród zgromadzonych gości, milionerów, przedstawicieli władzy i pracowników społecznych czuła się jak ryba w wodzie. Taką swobodę i pewność siebie zdobywa się, studiując na najlepszych uniwersytetach.

Ciężko pracował, aby zapewnić Lucy wyższe wykształcenie. Siostra wykorzystwała okazję. Z dala od dawnych przyjaciół cicha, nieśmiała dziewczynka przeistoczyła się w uroczą nastolatkę, a później w piękną inteligentną kobietę, która z najwyższą oceną ukończyła jeden z najslawniejszych uniwersytetów w kraju.

Wykształcenie, jakie zdobyła, otworzyło jej wiele drzwi.

Jared kochał siostrę. Wiedział, że pracowała równie ciężko jak on, by osiągnąć sukces. Czasem się jednak zastanawiał, jak by się wszystko potoczyło, gdyby w wieku szesnastu lat nie rzucił szkoły. Czy żyliby tak, jak ich rodzice? Może. A może nie. Może właśnie dzięki ojcu zrozumiał, że nie chce iść tą drogą. Ale to już przeszłość.

Podniósł do ust szklankę wody i obrócił się twarzą do grupy sponsorów, którzy powoli kierowali się w stronę stołów z jedzeniem. Nagle zauważył, jak Amy posyła komuś uśmiech, po czym opuszcza salę. Dekolt z tyłu jej sukni sięgał niemal pasa. Uff!

Jared ponownie rozejrzał się wokoło, szukając wzrokiem Nell Waters. Bez trudu ją odnalazł: szykowała się do poprowadzenia aukcji.

- Panie i panowie, dla tych, w których drzemią ukryte talenty kulinarne: lekcja pieczenia. Na pewno słyszeliście o słynnej Edlers Bakery, która mieści się u nas w Londynie? A więc szefowa cukierni we własnej kuchni udzieli lekcji osobie, która wylicytuje najwyższą stawkę. Zaczynamy od pięćdziesięciu funtów...

Amy, która siedziała w pierwszym rzędzie, starała się oddychać normalnie. Obserwowała Nell, zachęcającą gości do udziału w licytacji. Dlaczego się zgodziła? Może dlatego, że Nell podsunęła jej pomysł dosłownie dziesięć minut przed rozpoczęciem aukcji, i nie miała czasu przemyśleć sprawy?

Stawka doszła do stu funtów, kiedy z boku sali odezwał się znajomy głos:

- Tysiąc.

Wszyscy obrócili się, ciekawi, kto jest gotów tyle zapłacić.

Oczywiście to był Jared. W sztywnym na miarę smokingu wyglądał na niezwykle przystojnego. Wpatrywał się w Amy, jakby nikogo poza nią nie było na sali. A ona widziała w jego oczach zadowolenie, radość i... tak, jawne pożądanie.

Serce waliło jej jak oszalałe. Wstała. Miała wrażenie, że czas się zatrzymał. Kiedy tak stała ze wzrokiem utkwionym w twarz Jareda, poczuła dziwne drżenie. Kropelki potu zaczęły spływać jej po plecach.

Zacisnęła ręce na oparciu krzesła. Pot, dreszcze... Czyżby łąpała ją grypa? Ale jeszcze dwie minuty temu nic jej nie dolegało. Czowała się normalnie, dopóki nie zobaczyła Jareda w smokingu. Jeśli zatem to nie grypa... Nie, to niemożliwe!

Dwudziestoosmioletnia kobieta nie zadurza się w bracie przyjaciółki. Takim namiętnościom ulegają nastolatki. Przecież nie może zakochać się w Jaredzie! To kretyzizm! Był bratem Lucy; za kilka dni będą się razem bawić na jej ślubie i weselu. A potem on wyjedzie. Jego dom znajduje się tysiące kilometrów stąd.

Nie, pomysł był nedorzeczny. Nie zakochała się. A jeśli, to musi się odkochać. Natychmiast. W tej chwili.

Och, ty niemądra, zganiła się w myślach. Tylko spójrz na niego. Z takimi flirtowała na przyjęciach koktajlowych. Wysoki, szczupły, doskonale zbudowany - po prostu ideał mężczyzny. Ideał, który uwodzi i znika. Tak było dawniej. A teraz? Nie ma szansy.

Nagle poczuła zimny powiew hotelowej klimatyzacji. To sprawiło, że oprzytomniała. Puściła oparcie krzesła, wyprostowała ramiona. Naprawdę nie musi się o nic martwić: ktoś taki jak Jared Shaw nigdy się nią nie zainteresuje.

Dwa lata temu podjęła decyzję: koniec z życiem erotycznym. Żaden mężczyzna jej nie zechce, żadnemu się nie spodoba jako kobieta. Na razie to się sprawdza.

Idealni mężczyźni nie tracą czasu na ułomne kobiety. Na uszkodzony towar.

Na przyjęciu weselnym Lucy zarezerwowała dla brata dwa miejsca. Zapewne tego dnia przyleci do Londynu piękna młoda dama, która będzie dotrzymywać Jaredowi towarzysztwa i tańczyć w jego ramionach do białego rana.

Ona, Amy, nie ma się co łudzić. Jared należy do innej.

Więc po jakie лихо podbijał stawkę? Naprawdę chce nauczyć się pieczenia ciast? Czy chce spędzić pół dnia z nią, Amy? Ale po co?

Uśmiechnął się szeroko, odsłaniając rząd równych białych zębów, po czym wolnym krokiem, przy wtórze oklasków, ruszył w jej stronę. Po drodze ścisnął ręce miejscowych polityków, pozował do zdjęć fotoreporterom.

Wszyscy goście patrzyli, jak podchodzi do Amy, składa pocałunek na jej dłoni, a następnie kłania się Nell i pozostałym gościom.

- Nagrodę wygrywa pan Jared Shaw, właściciel firmy deweloperskiej Haywood-Shaw, który jest również sponsorem dzisiejszej uroczystości. Panie i panowie, pan Jared Shaw!

- Mówiłeś, że nie cierpisz być przewidywalny.

- To prawda.

Amy pokręciła głową.

- Dlaczego mi nie powiedziałeś, że się tu wybierasz? Ostatnie pięć minut spędziłam z Nell, która nie mogła się ciebie nachwalić. Najwyraźniej masz mnóstwo ukrytych talentów.

- Zaskoczyłem cię?

- Jakoś to przeżyję. Ale jesteś mi winien parę wyjaśnień. Przyznaj się, skąd znasz Nell?

Zerknął nad ramieniem Amy na starszą kobietę, która stała pochłonięta rozmową z gośćmi.

- Kiedy Lucy i ja byliśmy dziećmi, Nell, która działała w pomocy społecznej, trochę się nami zajmowała.

- Niesamowite. Lucy nigdy o niej nie mówiła.

- Była za młoda, żeby pamiętać. Zresztą w tej części miasta, która podpadała pod „jurysdykcję” Nell, mieszkaliśmy zaledwie kilka miesięcy. - Westchnął. - Jednej rzeczy żałuję.

- Jakiej?

Spoglądając w jej niebieskie oczy, kontynuował:

- Gdybyśmy mieszkali przy Ashcroft nieco dłużej, może Nell przedstawiłaby mi małą dziewczynkę o imieniu Amy.

Zaczerwieniła się.

- Och, wiele nie straciłeś! A swoją drogą to dziwne, że lata temu mogliśmy się miąć na ulicy. - Na moment zamilkła. - Kocham Nell. Widzę, że na tobie też wywarła wrażenie.

W kącikach jego oczu pojawiły się zmarszczki.

- Moja firma wspiera wiele organizacji charytatywnych, ale tylko dla Nell jestem gotów lecieć na drugi koniec świata.

- Aha! Czyli bywasz czuły na kobiece wdzięki!

- Na wdzięki Nell na pewno, chociaż niektórzy jej goście... Widzisz tego dżentelmena w garniturze w prążki, objadającego się krewetkami? - Wskazał głową na krępego mężczyznę w starszym wieku, z rzednącymi siwymi włosami, który od kwadransa okupował bufet.

- Tego z ogromnym talerzem? Znasz go?

- Był dyrektorem prywatnej szkoły, do której uczęszczałem. Ostatniego dnia z nieskrywaną satysfakcją powiedział mi, że w jego szkole nie ma miejsca dla syna kryminalisty i że nigdy w życiu do niczego nie dojdę.

- Wredny typ. Mam go wciągnąć na listę gości, których nie obsługuję? Bo mogłabym. Nigdy nie dostąpiłby zaszczytu skosztowania mojego strudla.

- Dzięki, ale nie warto. Jak powiadają: sukces jest najlepszą zemstą.

Przyjrzała mu się uważnie, po czym ściszyła głos.

- Przyznaj się, co zrobiłeś? Kupiłeś szkołę i urządziłeś w niej klub nocny?

Parsknął śmiechem.

- Nie, ale... Zachowałem się dziecinnie. Zanim kilka lat temu zburzono budynek, podjechałem pod szkołę czerwonym lamborghini, zaparkowałem na miejscu zarezerwowanym dla dyrektora, wygłosiłem półgodzinną mowę o przewadze doświadczenia nad wykształceniem, po czym zaprosiłem do pubu uczniów szóstej klasy. Oczywiście było to kretyńskie zagranie, dyrektora roznosiła wściekłość, a mnie rozpiekało uczucie szczęścia.

- Czerwonym lamborghini! - Amy roześmiała się wesoło. - Chciałabym to zobaczyć. - Zerknęła przez ramię. - A pan dyrcio wie, że to ty płacisz dziś za jedzenie i picie? Może niegrzeczna panna Edler powinna go o tym poinformować?

- Niegrzeczna? Hm. Masz jakieś inne metody demonstrowania swojej niegrzeczności?

- Owszem, zmuszam mężczyzn do ugniatania ciasta, nie udzielając im wcześniej wskazówek.

- Słuchaj... Mam pewien problem i liczę, że pomożesz mi się z nim uporać.

- Ciekawe...

- Mówię serio. Znasz amerykańską sieć sklepów Noodles & Strudels? Jej właściciel niedawno został moim klientem. Gdyby odkrył, że nie wiem, jak powinien smakować prawdziwy strudel... Wolę o tym nie myśleć.

- Fakt, nie wyglądałoby to dobrze - przyznała Amy.

- Wyobrażasz sobie moją radość, kiedy dowiedziałem się, że niejaka panna Amy Edler, właścicielka słynnej cukierni Edlers Bakery, oferuje prywatną lekcję osobie, która wylicytuje najwyższą cenę? Czy mogłem oprzeć się pokusie?

- Zapłaciłeś tysiąc funtów, żebym pokazała ci, czym się różni dobry strudel od przeciętnego?

- Nie. Przekazałem tysiąc funtów na szlachetny cel, a że przy okazji będę mógł spędzić kilka godzin w twoim uroczym towarzystwie...

- Jest pan niezwykle szarmancki, panie Shaw! Później ustalimy termin, dobrze? Teraz chcę dopaść Nell i pożegnać się. To był długi i męczący dzień.

- Pozwoli pani, panno Edler, że odwiozę ją do domu? Może po drodze umówimy się na lekcję?

- Doskonale, panie Shaw. - Uświadomiła sobie, że niczego bardziej nie pragnie. - Wydaje mi się jednak, że ktoś chce z panem porozmawiać...

- Jared Shaw? Tak myślałem, że to ty! - zawołał krępy gość w średnim wieku z siwiejącymi baczkami i przyjaznym uśmiechem.

Mężczyźni wymienili serdeczny uścisk dłoni. Sprawiali wrażenie dobrych znajomych. Amy przyjrzała się uważnie grubasowi i nagle otworzyła szeroko oczy. Przecież to był wspomniany przed chwilą Teksasczyk Bill Brooks, właściciel Noodles & Strudels.

Przypomniawszy sobie, że Amy stoi obok, Jared obrócił się do niej, a jej serce znów zabiło szybciej.

- Bill, chciałbym ci przedstawić moją przyjaciółkę, Amy Edler. Amy kupiła dawną Edlers Bakery i uwielbia strudle.

- Niewiarygodne! - Bill pokręcił ze śmiechem głową. - Pani jest nową właścicielką Edlers? Dawno już nie słyszałem tej nazwy.

- Miło, że w ogóle pan o niej słyszał, panie Brooks.

Mężczyzna poklepał Jareda po ramieniu.

- Och, ty łobuzie! Gdzieś ty ukrywał tę dziewczynę? Edlers Bakery! Kto by pomyślał? Wie pani, mój ojciec dorastał w Wiedniu - zwrócił się do Amy. - Mieszkał przecznicę od wiedeńskiego Edlersa. Ale się matka zdziwi, kiedy jej powiem, że spotkałem kogoś z rodziny Edlerów! Kochanie, opowiedz mi o sobie. Jared, nie pogniewasz się, jak ci na parę minut porwę tę dziewczynę?

Zanim Jared zdążył się zgodzić lub sprzeciwić, Bill Brooks wziął Amy pod rękę i przeciskając się przez tłum, wyprowadził ją z zatłoczonej sali.

Jared stał pośród rozmawiających z ożywieniem gości i patrzył na Amy, która zerknąwszy przez ramię, mrugnęła do niego, po czym uniosła w stronę Brooksa swą roześmianą twarz. Jeszcze raz czy drugi mignęła mu przed oczami czerń jej sukni, potem przysłonił ją tłum stłoczonych wokół stołów dziennikarzy i fotoreporterów.

Poznał Amy zaledwie wczoraj, ale wcześniej wiele słyszał o niej od Lucy. Dziewczyny łączyła wyjątkowa więź. Nie miało znaczenia, że rzadko się widywały, że dzielił je ocean. Zazdrościł siostrze. I rozumiał, dlaczego Lucy zaufała Amy w tak ważnej sprawie, jak własny ślub.

Zamyślony podrapał się po brodzie. Amy... Był nią zafascynowany. Po raz pierwszy w życiu spotkał taką kobietę.

Próbował odszukać ją wzrokiem. Bez skutku. Znikła mu z pola widzenia. A Bill Brooks, jego ważny nowy klient, uważa, że Amy jest jego dziewczyną. Dziwne, nawet nie starał się wyprowadzić Billa z błędu.

Wciąż czuł jej zapach, dotyk jej ciała, gdy stali obok siebie pogrążeni w rozmowie. Nie ruszył się w miejsca; patrzył tam, gdzie ją widział po raz ostatni. I czekał, aż znów ją ujrzy - najpiękniejszą kobietę w sali.

Gotów był czekać długo. Aż do skutku.

TLR

ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Przepraszam, że to tak długo trwało, ale Bill z taką pasją opowiada o swoim biznesie... Poza tym nie mógł się ciebie nachwalić.

- W takim razie ci wybaczam. To co, idziemy do samochodu?

Wzięła Jareda pod rękę i wyszli na dwór.

- Podobno w środę wybierasz się z moją siostrą na rajd po sklepach?

- Nie mogę się doczekać. My, kobiety interesu, rzadko miewamy dzień wolny.

Ciągle tylko praca i praca.

Schyliwszy się, Jared ściszył głos.

- Mimo tej ciągłej pracy wyglądasz fantastycznie.

- Dziękuję, mój panie. Ty też wyglądasz niczego sobie.

Wolną ręką, niemal teatralnym gestem, Jared poprawił muszkę pod szyją.

- W tym smokingu? Znalazłem go w szafie i uznałem, że wystroję się dla fotoreporterów.

- A propos zdjęć: rozmawiałeś z tym drugim fotografem w sprawie ślubu Lucy? - spytała Amy, zmieniając temat.

- Tak. Jest winien przysługę swojemu koledze i powiedział, że z przyjemnością go zastąpi - odparł Jared, lawirując między ustawionymi na zewnątrz stolikami. - A teraz, jeśli się nie śpieszysz, chciałbym zaproponować małą wycieczkę. - Zawahał się. - Spójrz na drugą stronę ulicy.

Oderwała wzrok od jego twarzy i spojrzała na wspaniałe gmach Opery Królewskiej.

- Co roku na Boże Narodzenie przychodziliśmy tu z Lucy. Raz oglądaliśmy „Dziadka do orzechów”, innym razem „Kopciuszka” lub „Jezioro łabędzie”. To były magiczne chwile.

- Zdziwiałam mnie pan, panie Shaw. Myślałam, że małych chłopców nie interesują przedstawienia baletowe.

- Masz rację. Ale nasza mama знаła mnóstwo opowieści dotyczących każdego baletu, anegdot o kompozytorach, artystach i choreografach, znała setki bajek i rymowanek.

Błagaliśmy ją, żeby nas tu przyprowadzała. Stroiliśmy się we troje, w trakcie przerwy piliśmy sok i szampana. Tak, to były naprawdę magiczne chwile.

Amy przyjrzała mu się badawczo. Jego twarz wyrażała radość i nadzieję. Nagle jednak Jared zmarszczył czoło, ściągnął brwi, zacisnął gniewnie usta.

Coś sobie uświadomiła. Powiedział: we troje. Nie we czworo. On, Lucy i matka. O ojcu nie napomknął. Z tego, co Lucy mówiła, wynikało, że ojciec odszedł, gdy miała dziesięć lat. Czyli Jared musiał mieć wtedy czternaście. Oczy jej zaszły łzami. Rozprostowała zwiniętą w pięść dłoń Jareda i splotła palce z jego palcami. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki opuściło go napięcie.

- Cudowne wspomnienia - szepnęła Amy. - Jak często się z nimi widzisz? Z Lucy, z mamą?

- Mama wpada do Nowego Jorku ze dwa razy w roku.

Wyszła po raz drugi za mąż i mieszka we Francji. Spotkamy się za kilka dni na ślubie Lucy.

- A z Lucy? Codziennie widzicie się w biurze?

- Skądże. Często ja bywam w terenie albo ona pracuje nad czymś z Mike'em. Właściwie to oni zarządzają firmą.

- Słuchaj... - Amy przystanęła. - Mam pomysł. Może to nie moja sprawa, ale... - Wzięła głęboki oddech. - Lucy jest we Francji. Do Londynu przylatuje we wtorek wieczorem. Jedź po nią; spędzicie dwie godziny w samochodzie, nagadacie się za wszystkie czasy. To wasza ostatnia szansa, zanim Lucy zacznie nowe życie jako pani Gerard. A twoja mama z mężem dotrą tutaj w czwartek, tak jak planowali. Co o tym myślisz?

Zmarszczył czoło, w końcu głosem lekko spiętym spytał:

- Lubisz „Cyganerię”? Pomyślałem, że moglibyśmy...

- To moja ulubiona opera.

- Doskonale. - Przygryzając wargę, sięgnął po rękę Amy. - Zarezerwuję bilety na przyszły tydzień.

- Wydawało mi się, że od razu po ślubie wracasz do Stanów?

- Zamierzałem. - Ścisnął mocniej jej dłoń. - Ale nastąpiła zmiana planów. Chyba wcześniej pojedę po Lucy do Francji, żeby spędzić z nią dzień lub dwa...

Trzymając się za ręce, ruszyli w milczeniu przed siebie. Amy patrzyła na grupki uśmiechniętych ludzi, na drzewa, na budynki. Patrzyła wszędzie, tylko nie na Jareda. Bała się, że wtedy nie powstrzyma westchnienia błogości.

Miała wrażenie, jakby byli parą. Parą na randce. Ale wiedziała, że tak nie jest. Byli dwojgiem ludzi, którzy w najbliższą sobotę staną w kościele naprzeciwko siebie, ona przy boku Lucy, on obok Mike'a.

Może więc należy cieszyć się chwilą i mieć miłe wspomnienia, kiedy Jared z Lucy wrócą już do Nowego Jorku?

Za tydzień jej życie będzie znów toczyło się po starych torach. Tego właśnie chciała, prawda?

- Uważaj!

Rowerzysta skręcił gwałtownie w ich stronę, usiłując wyminąć turystę, który cofnął się, by zrobić zdjęcie. Jared instynktownie zasłonił Amy własnym ciałem. Do wypadku na szczęście nie doszło; młodzieniec ponownie skręcił i odjechał. Amy wstrzymała oddech; dopiero po chwili zorientowała się, że Jared trzyma ją w objęciach. Zamknęła oczy, rozkoszując się jego ciepłem, siłą i bliskością.

To było jej marzenie, fantazja. Przez kilka sekund mogła udawać, że jest zwykłą dziewczyną, która wyszła na spacer ze swoim chłopakiem. Że ten cudowny mężczyzna jest jej kochankiem. Że blizny na jej dekolcie nie istnieją. Że...

O Chryste! Nagle uświadomiła sobie, że rowerzysta mógł ją potrącić. Zrobiło jej się słabo. Wzięła kilka głębokich oddechów. Nie zemdleje. Nie tutaj, nie teraz. Nie przy Jaredzie. Psiakrew! Po co jej to wszystko? Wkrótce Jared wyjedzie, a ona zostanie sama. Z pustką w sercu.

- Przestraszyłem się, że na nas wpadnie. Wszystko w porządku?

Cofnęła się pół kroku i uśmiechnęła.

- Tak, dziękuję. - Nagle skrzywiła się. - Ojej, zabrudziłam ci szminką koszulę. Przepraszam.

- Nic się nie stało. Ale... - Objął ją w pasie.

- Ale? - Popatrzyła mu w oczy.

- Mamy widownię.

- Widownię? - powtórzyła zdumiona, po czym obejrzała się za siebie.

Zobaczyła grupkę starszych panów stojących przed jaskrawo oświetloną kawiarnią, którzy w geście aprobaty unieśli kciuki. Speszona odskoczyła od Jareda. Rozległ się do-
broduszny śmiech i oklaski.

- Powóz czeka, proszę pani.

Otworzył drzwi zielonego sportowego auta i podał Amy dłoń. Usiadła na miękkim
skórzanym fotelu. Suknia podjechała jej wysoko, odsłaniając szczupłe uda.

Jako facet zawsze w pierwszej kolejności patrzył na nogi. A te Amy miała fanta-
styczne.

- Moje firmowe auto. Mam nadzieję, że ci się podoba?

- Owszem. Ale muszę wrócić do Edlers przed północą. Nie chciałabym, żeby to
cudo zamieniło się w dynię.

- A co ze mną? Przeistoczę się w żabę?

- Lepiej nie. - Roześmiawszy się wesoło, pogładziła skórzane obicie. - Masz do-
skonale gust.

Po chwili włączyli się w ruch uliczny.

- A propos twojej firmy... Jej pełna nazwa brzmi Haywood-Shaw. Kim jest ów ta-
jemniczy Haywood? Cichym wspólnikiem? Pojawia się czasem na imprezach charyta-
tywnych?

- To długa historia.

- Dlaczego?

- Lepiej ci pokażę.

Jechał londyńskimi ulicami, skręcając raz w prawo, raz w lewo, aż Amy całkiem
straciła orientację. Wreszcie zatrzymał się przed remontowanym bistro.

Wysiadła i rozejrzała się z zaciekawieniem; nie bardzo rozumiała, dlaczego tu
przyjechali.

Jared okrył marynarką jej ramiona.

- Dziękuję - szepnęła, wpatrując się w jego twarz.

Obejmując ją w pasie, oparł brodę na jej ramieniu, podniósł lewą rękę i wskazał palcem przed siebie. Na końcu szeregu domów widniała tablica z nazwą ulicy. Amy zmrużyła oczy, usiłując ją odczytać.

Czyżby Haywood? Zaskoczona wybuchnęła śmiechem. Zamierzała się odwrócić, kiedy Jared ponownie wyciągnął rękę; tym razem wskazał zasłonięte okna na pierwszym piętrze nowego budynku.

Czuła napięcie w powietrzu. Czekala, o nic nie pytając.

- Osiemnaście lat temu mieścił się tu nędzny warsztat, a nad nim było mieszkanie. Zajmowaliśmy je w trójkę: ja, mama i Lucy. Przez osiemnaście miesięcy i sześć dni. Na nic innego nie było nas stać. Frank wynajmował dół, my górę.

- Musiało być bardzo małe.

- Składało się z jednej sypialni, do której z trudem wstawiliśmy pojedyncze łóżko. Spały na nim mama z Lucy. Ja spałem w mikroskopijnym saloniku. Nienawidziliśmy tego miejsca. Po latach ulicę Haywood umieściłem w nazwie firmy.

Amy obróciła się w objęciach Jareda, tak by stać do niego przodem.

- Żeby nie zapomnieć, skąd pochodzisz? Żeby pamiętać o swoich korzeniach? Wiem, że to nie moja sprawa...

Pochylił głowę i przycisnął czoło do jej czoła. Obok przejechał samochód, potem rowerzysta. Amy nie była ich świadoma. Słyszała tylko oddech Jareda, który pocierał raz jednym, raz drugim policzkiem o jej twarz. Po chwili wsunął dłoń pod marynarkę, którą zarzucił jej na ramiona.

Wciągnęła z sykiem powietrze. Odczytał to jako zachętę i przywarł ustami do jej ust. Zamknęła oczy, delektując się czułym delikatnym pocałunkiem, i zamruczała cicho. W tej samej chwili Jared uniósł głowę i cofnął się, po czym otworzył drzwi auta.

- Chodź, odwiozę cię do domu.

- To o której po ciebie przyjechać? - spytała Lucy. - Krawcowa czeka na nas o jedenastej.

Przyciskając ramieniem słuchawkę, Amy uśmiechnęła się.

- O dziesiątej trzydzięci? Wprawdzie wstaję z kurami, ale mam mnóstwo bułeczek do upieczenia.

- Dobra, dobra! Ciekawa jestem twojej sukni. I pamiętaj, później ruszamy na zakupy.

- Wiem. Powiedz, jak podróż? Wytrzymałaś z Jaredem?

W słuchawce rozległ się srebrzysty śmiech.

- Mój brat był uroczy jak zwykle. Dzięki, że mu podsunęłaś pomysł. Prawie się nie kłóciliśmy.

- Prawie?

- W paru kwestiach mieliśmy odmienne zdanie, ale co tam! Wyobraź sobie, że zgodził się odstąpić nam, dziewczynom, na piątkową noc swoje mieszkanie. Sam przeniesie się do hotelu. Aha, coś sobie przypomniałam. Bukiet ślubny. Nie chcę orchidei, to był głupi pomysł.

Amy wstrzymała oddech, czekając na dalszy ciąg.

- I zamiast nich...?

- Róże i lilie. Jasnożółte róże. Ostatnie dwa tygodnie spędziłam u mamy w jej ogrodzie różanym. Chyba że już zrobiłaś orchidee z cukru? Czułabym się strasznie, gdybyś musiała robić wszystko od nowa.

- Nie, nie, w porządku - skłamała Amy, spoglądając na lodówkę, w której umieściła wykonane wczorajszego wieczoru żalosalne próbki pomarańczowo-żółtych orchidei. - Mogłabym dostać taką różę? Wtedy idealnie dobrałabym kolor.

- Już poprosiłam w kwiaciarni, żeby przysłano ci wzór bukietu. Jest piękny! No, muszę lecieć. Frank czeka z Bellą. Do zobaczenia.

Amy odłożyła słuchawkę. Stęskniła się za przyjaciółką. Telefony i mejle to nie to samo co rozmowa w cztery oczy. Ostatni raz widziały się kilka miesięcy temu, gdy Lucy przyleciała służbowo do Londynu i wpadła do Edlers z niespodziewaną wizytą.

Kiedyś wyglądały jak bliźniaczki. Obie szczupłe, eleganckie, zadbane. Podniósłszy wzrok, Amy zobaczyła przez okno młodą atrakcyjną parę; on miał na sobie garnitur, ona kostium. Dziewczyna przypominała ją samą sprzed kilku lat. Nie tak dawno temu też taka była. Owszem, bardzo zapracowana, lecz beztroska. Z radością wracała do domu, by przytulić się do ukochanego, że dwa lub trzy razy w tygodniu spotykała się ze znajomymi w restauracji.

Sądziła, że zawsze tak będzie. Że nic się nie zmieni.

Zawahała się, słysząc dzwonek telefonu. Miała jeszcze tyle do zrobienia! Poza tym miło byłoby posiedzieć chwilę na słońcu, wypić kawę...

Ale może dzwoni klient?

- Cukiernia Edlers.

- Cześć, cukiernio Edlers.

Z radości zakręciło się jej w głowie. Na szczęście zdążyła złapać miszkę, zanim ta spadła ze stołu.

To on! Jared! Niedzielę, poniedziałek i wtorek spędziła w pobliżu telefonu. Na wszelki wypadek. I wreszcie...

Oddychaj, przykazała sobie.

- Dzień dobry, panie Shaw. Jak tam pogoda na ostatnim piętrze pańskiego wieżowca?

- Nie mam pojęcia. Ale tu na dole, przed pani cukiernią, jest ciepło i słonecznie. Co porabiasz?

- Ubijam pianę z białek. Do dziesiątej muszę upiec dla znajomego trzy torty bezowo-cytrynowe. A ty co porabiasz? Planujesz otwarcie kolejnej filii? Czy przeróbkę następnej kawiarni?

Roześmiał się.

- Może zjesz ze mną, Lucy i Bellą lunch, zanim ruszycie na zakupy?

Znów omal nie upuściła miski. Złapawszy ją, spojrzała na zegar ścienny. Miała godzinę. Potem szybki prysznic...

- Gdzie?

- No więc Bill Brooks, którego niedawno poznałaś, otwiera dziś po południu swoje pierwsze bistro w Londynie. Zaryzykujesz?

- Bistro Noodles & Strudels? O rany! Chyba nie zdołam oprzeć się pokusie.

- Wiedziałem - powiedział zadowolony. - Frank przyjedzie po ciebie do krawcowej. Aha, Amy...

- Tak?

- Brooks odniósł wrażenie, że jesteście parą. Nie odzierajmy go z romantycznych złudzeń, dobrze?

- Jasne... To znaczy, że on tam będzie?

Gdy się rozłączył, przysiadła na stole. Jak on to robi, że serce bije jej jak szalone? I dlaczego ma ochotę uśmiechać się szeroko?

TLR

ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Skarżył się, że go zostawiłaś i musiał czekać ze trzy kwadranse, aż skończysz rozmawiać z Brooksem. Wstydziłabyś się, moja droga. - Lucy obejrzała się przez ramię, podczas gdy krawcowa ostrożnie zdejmowała z niej suknię ślubną. - Mój brat nie jest przyzwyczajony do bycia ignorowanym. Cierpi na tym jego ego.

- Przeprosiłam go. A z Billem świetnie mi się rozmawiało o Wiedniu.

- Wybaczam ci, ale tylko pod warunkiem, że pójdziesz z nami na lunch. - Na moment Lucy zamilkła. - Kto wie? Może Bill nawiąże z tobą współpracę?

Zanim Amy zdołała cokolwiek powiedzieć, przyjaciółka wskazała przymierzalnię za kotarą.

- Twoja kolej. Za pół godziny wychodzimy.

Pół godziny? To aż nadto. Kiedyś uwielbiała łązić po sklepach, przymierzać ciuchy. A teraz? Teraz szukała przymierzalni z zamykanymi na zasuwę drzwiami. Ale nawet wtedy nigdy nie zdejmowała bluzki.

Zresztą niewiele ostatnio kupowała. Bo i po co? Dzięki temu nie musiała oglądać w lustrze własnego ciała.

No dobrze. Zerknęła do lustra i rozciągnęła usta w uśmiechu. Krawcowa zastosowała się do instrukcji. Długa jedwabna suknia w kolorze ostrygi miała piękny fason podkreślający talię i szczupłe ramiona.

Amy pochyliła się, sprawdzając, czy widać pod suknią obojczyk. Nic nie było widać.

Doskonale. W tej sytuacji może nawet dobrze się będzie bawiła na ślubie przyjaciółki.

Ponownie spojrzała do lustra: zobaczyła uśmiechniętą, szczęśliwą kobietę. Podejrzewała, że w znacznej mierze jest to zasługa Jareda. Wystarczył jeden pocałunek...

Przytknęła palec do ust i zamknęła oczy; znów poczuła ciepło bijące z ciała Jareda, jego bliskość, dotyk...

Głosy zza kotary wyrwały ją z zadumy. Wciąż uśmiechając się do swojego odbicia, zdjęła suknię. Sięgała po spódnice, kiedy na dnie torebki zabrzęczała komórka.

Na drugim końcu rozległ się dawno niesłyszany głos:

- Hej, ślicznotko! Jak się miewasz?

- Ethan? Gdzie jesteś?

- Pół godziny temu przyleciałem z Sydney do Nowego Jorku. Mike nalegał, żebym zjawił się wcześniej i doszedł do siebie po długiej podróży. Bądź co bądź drużba nie może padać ze zmęczenia.

- To prawda - przyznała Amy, starając się nie okazywać emocji. - Nie zgadniesz, co robię. Właśnie jestem u krawcowej. Bella z Lucy są w sąsiednim pokoju. Przy mierzymy suknie. Lucy w swojej wygląda fantastycznie.

- Wcale mnie to nie dziwi. - Na moment Ethan zamilkł. - Czy... wspomniała, że nie będę sam?

- Na liście gości figurujesz jako „Ethan z osobą towarzyszącą”, ale żadnych szczegółów nie znam. Mogłeś przefaksować jej zdjęcie i życiorys.

Na drugim końcu linii Amy usłyszała wesoły śmiech.

Oczami wyobraźni ujrzała przystojnego ciemnookiego bruneta, który przed laty skradł jej serce. I którego nadal darzyła głęboką sympatią.

- Ally przylatuje jutro. Wreszcie zdołałem przekonać tę cudowną dziewczynę, żeby wyszła za mnie za mąż. Jesteśmy oficjalnie zaręczeni.

- To wspaniała nowina! - oznajmiła Amy, szczęśliwa, że głos się jej nie załamał. - Gratulacje. Bardzo się cieszę.

- Tobie pierwszej o tym mówię. Ally uwielbia kite-surfing... Później ci o wszystkim opowiem. Przyjechał po mnie samochód, muszę kończyć.

- Dobrze - szepnęła.

Nogi miała jak z waty. Ubrana w samą bieliznę, ściskając w dłoni komórkę, chwiejnym krokiem doszła do fotela i usiadła. Ethan jest zaręczony.

Wiedziała, że tak się stanie. Że prędzej czy później Ethan spotka dziewczynę, w której zakocha się do szaleństwa. I która będzie podzielać jego miłość do sportów wodnych. Tylko czy to musiało się zdarzyć teraz? Akurat gdy Lucy wychodzi za mąż? Przyjaciółka zostanie żoną Mike'a, były narzeczonej zostanie mężem Ally...

Psiakrew! Z salonu za kotarą doleciał ją męski głos. Serce natychmiast zabiło jej mocniej.

Jared. Przyjechał zabrać je na lunch. Amy zacisnęła ręce na brzuchu. Czy zdoła cokolwiek przelknąć, kiedy na sam dźwięk jego głosu jej ciało reaguje takim podnieceniem?

Lekko zdenerwowana włożyła bluzkę; zapinała ostatni guzik, kiedy zza kotary wychyliła się głowa Belli. Siostra Mike'a nie należała do osób przesadnie wstydlivych ani dbających o intymność innych.

- Gotowa? Przyjechał po nas Jared.

- Jeszcze chwila.

Wskazując na dolną część ciała Amy, Bella uśmiechnęła się od ucha do ucha.

- Fajne majteczki!

- Kto ma fajne majteczki? - spytał niewidoczny za kotarą Jared.

Amy pokręciła głową. Zabije Belle, chyba że ktoś inny zrobi to wcześniej. Siostra Mike'a, przyszła szwagierka Lucy, była dziennikarką; chyba dziennikarka powinna mieć odrobinę taktu?

- Amy - poinformowała Jareda. - A ty nie podsłuchuj!

Po chwili Amy wyszła z przymierzalni. Zobaczyła, jak Jared wymachuje Belli pod nosem różowym koronkowym gorsetem.

- Dzień dobry, panno Edler. Gotowa na lunch?

Miał na sobie niebieską koszulę rozpiętą pod szyją oraz granatową marynarkę z kaszmiru. Amy wstrzymała oddech. Miała ochotę ją pogłodzić. Marynarkę. Nie Jareda. Zwłaszcza nie Jareda, który posłał jej zabójczy uśmiech. Z takich, od których kobietom miękła kolana. I które mają taką siłę, że Amy na moment zaniemówiła.

- Wasze suknie będą z głębokim dekoltem, bez ramiączek? - zapytał rozmarzonym głosem.

- Nic z tego! - Bella wypięła dumnie swój obfity biust, po czym wzięwszy od Jareda gorset, przyłożyła go do siebie. - Dekolt odpada z powodu fiksacji Amy.

- Z powodu fiksacji? - Popatrzył na Amy, pewien, że chodzi o jakiś dowcip czy zabawą historię. - Błagam, zdradźcie mi, jaką Amy ma fiksację!

- Bello! - zawołała z oburzeniem Lucy.

Bella poczerwieniała i wybiegła na zaplecze.

- Lucy, nie rób afery - poprosiła Amy i uśmiechnęła się do Jareda. - Dwa lata temu miałam operację, po której zostały mi blizny. - Wzruszyła ramionami. - Nie lubię ich odsłaniać, dlatego Lucy zgodziła się na suknie bez dekoltu. To wszystko.

Może uwierzyłby jej, że „to wszystko”, gdyby o sekundę wcześniej popatrzyła mu w oczy, zamiast patrzeć pod nogi.

Kiedy podniosła wzrok, na twarzy Jareda ujrzała dobrze jej znany wyraz współczucia. Nie wytrzymała.

- Lucy, sukienka leży idealnie. Jared, dzięki za zaproszenie na lunch, ale muszę odpocząć. Zdzwońmy się później.

Zanim którekolwiek z nich odpowiedziało, cmoknęła przyjaciółkę w policzek, poprawiła na ramieniu torebkę i najszybciej jak potrafiła, wybiegła na ulicę, a tam złapała taksówkę.

W pustej sypialni panowała cisza. Wiatr kołysał zasłoną w oknie, niosąc z sobą dźwięki ulicy: szum przejeżdżających w dole samochodów i rozmowy ludzi, którzy zajmują się własnymi sprawami.

Amy siedziała w kącie na podłodze, wpatrując się w poruszone ciepłem żarówki koniki morskie i barwne tropikalne ryby. Widok ten działał na nią uspokajająco.

Maria Edler chciała wyrzucić tę lampkę, kiedy przed swoją przeprowadzką do Austrii sprzedawała dom, ale Amy zaprotestowała. Lampka towarzyszyła jej przez całe dzieciństwo. Dawała ukojenie. Może kiedyś będzie świeciła innej dziewczynce, może innej sierotce przywróci uśmiech.

Oparła głowę o ścianę i zamknęła oczy. Była zmęczona i roztrzęsiona. Po powrocie od krawcowej zastała ciekący klimatyzator oraz przerażoną Trixi; w dodatku doszły trzy nowe zamówienia.

Nie tracąc czasu, wzięła się do pracy. Zazwyczaj gdy miała pełne ręce roboty, zapominała o całym świecie. Ale nie dziś. Dziś, choć raz po raz poruszała ramionami, bolesne napięcie w szyi nie ustępowało. Potarła ręką kark. Poczwała pod palcami śliski jedwab.

Ethan uwielbiał, kiedy wkładała drogą jedwabną bieliznę. Ona też ją lubiła, zwłaszcza jej delikatny dotyk. Niekompletnie ubrana zasiadała do śniadania, wiedząc, że siedzący obok mężczyzna z chłopięcym uśmiechem na twarzy zachowa w pamięci ten obraz, gdy później będzie uczestniczył w nudnych spotkaniach biznesowych.

Oboje ciężko pracowali. Sobą mogli się nacieszyć tylko podczas urlopów, które spędzali na słonecznej plaży, gdzie Ethan pływał na desce albo grał w siatkówkę. Nic dziwnego, że półtora miesiąca po ich rozstaniu przyjął ofertę pracy w Sydney.

Rozstali się w zgodzie, z całusem na pożegnanie i obietnicą, że zawsze mogą na siebie liczyć. Nikt nikogo nie zdradził, nie było żadnych kłótni, żadnych pretensji. Po prostu oboje uznali, że się zmienili i lepiej będzie, gdy po czterech wspaniałych latach każde pójdzie w swoją stronę.

A teraz Ethan pojawi się na ślubie z narzeczoną. A ona, Amy, nie była pewna, jak zareaguje na jego widok.

Osunęła się nieco niżej.

Ładna bielizna... Jakie to ma znaczenie? Poza nią samą nikt nie wie o jej koronkach, satynach i jedwabkach.

Żaden kochanek nie dotrwa do bielizny; ucieknie wcześniej na widok szpetnych blizn.

Trudno, pomyślała. Grunt, że jej to sprawia radość. Będzie nosić maleńkie figi i koronkowe staniki. Może nawet pomaluje ściany ubrana w jedwabną wiśniową haleczkę.

Pociągnęła nosem. Och, żalona jesteś, skarciła się w duchu. Nadal była Amy Frances Cooper Edler. Nadal była tą samą dziewczyną, która osiągała znakomite wyniki na studiach i miała ambitne plany zawodowe, która wspinała się po szczeblach kariery.

Dopóki w sklepie spożywczym nie spotkała przerażonego siedemnastoletniego członka gangu, który do niej strzelił.

Promień popołudniowego słońca wdarł się do pokoju i padł na białą bliznę ciągnącą się wzdłuż dekoltu.

Amy zadrżała, jakby uderzył w nią zimny podmuch wiatru, po czym dźwignęła się z podłogi i wciągnęła niebieski kombinezon z długimi rękawami. Zapięła się. Nie mogła patrzeć na własne ciało.

Z trudem oddychała. W głowie się jej kręciło. Chirurg plastyczny uprzedzał, że tak będzie. Że to normalne.

Ale to nie było normalne. Miała dwadzieścia osiem lat i nie potrafiła patrzeć na siebie, nie myśląc o tamtej nocy. O przerażeniu na twarzy chłopca, który do niej strzelił.

Kilka sekund. Tyle to trwało. W ciągu kilku sekund zmieniło się życie wielu ludzi. Łzy spływały jej po policzkach. Oparła ręce o ścianę, żeby nie upaść. Powoli napięcie zaczęło ją opuszczać.

W piątek będzie druga rocznica. Nawet nieźle sobie radziła. Aż do dziś.

Lucy z Mike'em wiedzieli o strzelaninie w sklepie. Poprosili Amy, żeby została ich druhną. Ucieszyła się. Lucy zaplanowała wszystko: chciała mieć idealny ślub, wystąpić w sukni bez ramiączek...

Kilka godzin temu Amy odkryła, że z jej powodu krawcowa zmieniła fason sukni dla dwóch druzhen. I uświadomiła sobie, że w sobotę powinna się doskonale bawić na weselu, być wesółą i promienną, tak jak dawniej.

Kłamstwo. Ułuda. Całe jej życie było jednym wielkim kłamstwem. Nie będzie się dobrze bawić. Jest zmęczona. Lekarze ostrzegali ją, aby nie brała zbyt wiele na swoje barki. Że powinna dużo wypoczywać, unikać stresu. A ona?

Jakby tego było mało, to teraz Jared zna prawdę.

Łzy znów napłynęły jej do oczu. Czy naprawdę minęło dopiero kilka dni, odkąd Jared pojawił się w Edlers? Miała wrażenie, że wiele razem przeżyli. Wkrótce jednak on wróci do Nowego Jorku, do prywatnych odrzutowców i wielkich apartamentów. Zniknie z jej życia.

Za niecały tydzień.

Otarłszy łzy, zaczęła zdejmować z karnisza długie ciężkie zasłony. Po chwili pokój był skąpany w blasku słonecznym.

W tym pokoju spała jako nastolatka. Tu płakała, tu się śmiała do rozpuku. Obrysowała palcem znajomy wzór na ścianie: wyblakłe różowe kwiatki. Sama wybrała tę tapetę.

Ale to już przeszłość. Teraz pokój stał pusty; czekał na córkę, której jeszcze nie miała. Czas zapomnieć o smutnych sprawach. Biorąc głęboki oddech, uniosła wieko

puszki, zanurzyła wałek w jasnofioletowej farbie i jednym ruchem zamalowała kwiatki. Cofnęła się, zdumiona, że zdobyta się na takie świętokradztwo, ale nie zamierzała stchóżyć. Ponownie zamoczyła wałek. Przesuwała go po ścianach, aż całą powierzchnię pokryła świeża warstwa farby.

Stanąwszy na środku pokoju, obejrzała swoje dzieło. Świetnie. Dużo lepiej. Oczywiście wiedziała, że nie wystarczy jedna warstwa farby, ale już teraz pokój wygląda zupełnie inaczej. Tylko sufit dalej był brudny.

No dobra, może przy muzyce? Tylko nie Elgar. Dziś na Elgara nie miała ochoty.

Włączyła radio i przyciągnąwszy krzesło, chwyciła pędzel. W słuchawkach na uszach, podśpiewując głośno, wspięła się na palce. Gdyby była piętnaście centymetrów wyższa, o ileż łatwiej by się malowało!

Ostrożnie postawiła nogę na oparciu i sięgnęła do góry. Okej. Da radę. Nie zostawi brudnego sufitu. Najbrudniejszy był wokół lampy, pod którą zamierzała umieścić łóżko. Przecież nie może być tak, że biedne dziecko będzie leżało, wpatrując się w ciemne smugi.

Po paru minutach, zadowolona, zamierzała zejść, kiedy nagle coś dotknęło jej nogi. Podskoczywszy nerwowo, obróciła się. Gwałtowny ruch sprawił, że krzesło się zachybotało. Lewą ręką złapała się oparcia, a prawą... głowy Jareda, który chwycił ją w ramiona.

Wpatrując w jego oczy, osuwała się niżej. Zacisnął mocniej ramiona, jakby nie chciał jej wypuścić.

- To tak odpoczywasz? - spytał, zerkając na sufit.

- No pewnie - odparła takim tonem, jakby stale prowadziła rozmowy, tkwiąc w objęciach przystojnych mężczyzn. - Możesz mnie dłużej tak potrzymać? Jeszcze zostało mi pół sufitu.

Przygryzł wargę, powstrzymując się od śmiechu, po czym lekko rozluźnił uścisk. Amy zsuwała się powoli, aż wreszcie poczuła pod stopami podłogę. Cały czas patrzyli sobie w oczy; oddechy mieli przyspieszone. Dopiero po paru sekundach Jared przerwał milczenie:

- Czy mówiłem ci, że na początku swojej kariery pracowałem jako malarz i dekorator wnętrz? Więc albo kupisz sobie drabinę, albo dasz mi wałek i pozwolisz dokończyć. To jak?

Dziesięć minut później stała z rękami na biodrach, podziwiając śnieżnobiały sufit.

- Nieźle, panie Shaw. Jeśli kiedykolwiek zechce pan zmienić fach, polecę pana moim znajomym.

- Dziękuję, łaskawa pani. - Skinął w podzięcie głową. - Tylko mam prośbę: ponieważ nie zawsze jestem pod ręką, to niech pani kupi sobie drabinę. Choćby przez wzgląd na Lucy. Nie chcemy, aby jej druhna się połamała.

- Faktycznie, byłby kłopot... - Przyjrzała się uważnie Jaredowi. - Ani jednej plamki. Jak ty to robisz? - Wskazała na swój pomazany farbą kombinezon. - Cóż... Powiedz, jak wypadł lunch?

Jared milczał. Podniósłszy wzrok, zobaczyła, że wpatruje się w jej dekolt. Z przerażeniem skierowała spojrzenie w dół: trzy górne guziki kombinezonu były rozpięte. Odślaniały fragment jedwabnej halki oraz krawędź biustonosza.

Amy odwróciła się tyłem, zapięła się pod samą szyję i nie oglądając za siebie, ruszyła do kuchni. Nastawiła czajnik, wyjęła kubki i kawę. Tylko drżące palce zdradzały jej stan emocjonalny.

Łyżeczka spadła z brzękiem na podłogę. Zanim się po nią schyliła, wyczuła w kuchni obecność Jareda. Objął ją w talii. Stała bez ruchu, wciągając w nozdrza zapach jego wody po goleniu. Po chwili przywarł do niej całym ciałem.

Zamknęła oczy, krew pulsowała jej w skroniach. Tak dawno żaden mężczyzna jej nie dotykał. A ten pachniał bosko. I wyglądał fantastycznie.

Wtulił twarz w jej szyję, łaskocząc ją lekko swoim zarostem. Amy przechyliła głowę. Oddychała głęboko. Pragnęła go. Jared odgarnął włosy z jej twarzy.

- Lucy martwiła się, kiedy tak nagle wybiegłaś - szepnął, całując ją w kark. Głos miał inny niż zwykle, bardziej napięty. - Bella popłakała się. Nie wiedziałem o tej bliźnie. Tak mi przykro.

Westchnąwszy ciężko, Amy spojrzała przez okno w kuchni na błękit nieba.

- Daj spokój. Było, minęło, po prostu muszę nauczyć się z tym żyć. Poza tym naprawdę jestem zmęczona, miałam sporo pracy w tym tygodniu, a zakupy wymagają koszmarnie dużo wysiłku - dodała, starając się przybrać żartobliwy ton.

Nie bardzo jej to wyszło.

- Wiem. Lucy też wie. Prosiła, żebym do ciebie zajrzał i sprawdził, jak się czujesz. Ale twoja pracownica... Musiałem użyć całego swego wdzięku, aby mnie wpuściła. To dziewczę w ogóle mi nie ufa.

- Trixi obrończyni cnoty? - Amy uśmiechnęła się. - Podoba mi się.

Jared bez słowa gładził ją po ramieniu.

- Czy do pieczenia również wkładasz pod spód pełne majteczki i koronkowe staniczki? - szepnął po chwili.

- Ależ skąd! - oznajmiła z udawanym oburzeniem. - W kuchni nie paraduję w seksownej bieliźnie. Noszę ją wyłącznie do prac malarskich. A skoro mowa o malowaniu...

Oderwała dłoń Jareda od swojej talii, po czym oswobodziła się z jego objęć. Prawie natychmiast pożałowała tej decyzji.

- Muszę dokończyć. To znaczy malowanie. Zadzwoń wieczorem do Lucy.

Jared skrzyżował ręce na piersi. Miała wrażenie, że wpatruje się w jej biust. Nie wytrzymała; schyliła się, tak by jej oczy znalazły się na poziomie, na którym przed chwilą znajdował się jej dekolt.

- Halo! Głowę mam nieco wyżej!

Na twarzy Jareda pojawiły się wyrzuty sumienia.

- Przepraszam. - Czubkiem języka zwilżył wargę.

Zdziwiło to Amy. Znała ten gest, sama często go wykonywała. Czyżby Jared Shaw był zdenerwowany?

Nalała do kubków gorącej wody.

- Przyznaj się - powiedziała cicho. - Po co naprawdę przyszedłeś?

ROZDZIAŁ ÓSMY

Uniósł brwi, zaskoczony jej przenikliwością.

- Mów. O co chodzi?

- No dobra. Najpierw chciałem ci podziękować. To był świetny pomysł, żebym pojechał po Lucy do Francji. Dawno tak szczerze z sobą nie rozmawialiśmy.

- I?

- Oboje wiemy, że wszystko się teraz zmieni, ale grunt, że moja siostra jest szczęśliwa.

- Nie pokłóciliście się?

Przycisnął rękę do serca, jakby swoim pytaniem sprawiła mu ból.

- Ja? Miałbym się kłócić? - Pokręcił ze śmiechem głową. - Dwa razy. Oba razy o naszego ojca, Erica. - Po chwili uśmiech znikł z jego twarzy. - Dlatego w piątek, podczas kolacji rodzinnej, potrzebuję twojej pomocy. Chciałbym, żebyś mnie poparła.

Sięgając po kubek, zawahała się.

- Będziecie razem, w swoim gronie, a ja nie należę do rodziny. Jestem druhną!

- Jesteś kimś więcej niż druhną. - Z rękawa koszuli usunął niewidoczny pyłek. - Przyjaźnisz się z Lucy od studiów. A rodzina... Co ci Lucy opowiadała o naszym ojcu? O wczesnym dzieciństwie?

Amy wzruszyła ramionami.

- Że był księgowym. Że trafił do więzienia za jakieś malwersacje finansowe. Wasza mama wystąpiła o rozwód... - Nagle urwała, jakby coś sobie uświadomiła. - Kiedy ojciec znikł z waszego życia, Lucy miała dziesięć lat. Właściwie jedyną jej rodziną jesteście wy, ty i wasza mama.

- Uhm. Lucy miała dziesięć lat, kiedy z pięknego wielkiego domu przenieśliśmy się do nędznego mieszkanca nad warsztatem, o którym niedawno ci opowiadałem. Musiałem zrezygnować z nauki w prywatnej szkole z internatem. Straciłem przyjaciół, nauczycieli, znajome kąty. I coś jeszcze: złudzenia. Dotychczas uważałem, że mój ojciec jest najlepszym facetem na świecie. Myliłem się. Był przestępcą. Oszustem.

Uśmiechając się smutno, Jared wypił łyk kawy.

- Żeby chociaż nie dał się złapać, ale on w dodatku był patałachem. - Popatrzył Amy w oczy. - Lucy niewiele wie o ojcu. Mama mówiła jej, że tatuś podjął kilka złych decyzji i z tego powodu odsiadyuje karę w więzieniu. Że wcale nie był tak podłym i chciwym człowiekiem, jak go opisywali dziennikarze. I jak go przedstawiał sędzia. Po prostu był kimś, kto popełnił parę błędów.

Pociągnawszy nosem, Jared rozejrzył się po kuchni.

- Mój ojciec był pijakiem i zapalonym hazardzistą. Grał o pieniądze, których nie miał. Długo trwało, zanim zdałem sobie z tego sprawę.

- Nie wiedziałam...

- Skąd miałaś wiedzieć? Lucy była za mała, aby pojąć prawdę.

Amy usiadła przy stole. Po kilku sekundach spytała:

- Jared, dlaczego mi o tym opowiadasz?

- Kilka lat temu ojciec wyszedł na wolność. Mama i ja uznaliśmy, że nie poinformujemy o tym Lucy. Ojciec mógłby wykorzystać jej dobre serce. Aż do wczoraj sądziła, że ojciec nadal odbywa karę.

Zamilkł. Przez moment obracał w rękę kubkiem.

- Okazało się, że po wyjściu z więzienia ojciec wyjechał do Afryki Południowej. Czytając prasę angielską, trafił na zawiadomienie o ślubie Lucy i uznał, że ma prawo być na nim obecny. A nie ma. Nie ma do nas żadnych praw.

Z całej siły ścisnął kubek. Zaraz go zmiażdży, pomyślała Amy. Przyłożyła dłonie do jego rąk. W oczach Jareda zobaczyła ból chłopca, który stracił ukochanego ojca. Który stracił swoje życie i swoją przyszłość. Trwało to ułamek sekundy, a potem znikło: Jared znów schował się za maską.

- Zamierza przyjechać do Londynu?

- Już tu jest. Po lunchu Lucy odebrała od niego telefon. Była taka przejęta! Wyobrażasz sobie? Z radości, że ten drań chce przyjść na jej ślub, zaprosiła go również na piątkową kolację. Nie chcę robić sceny, ale nie wiem, czy zdołam uścisnąć dłoń ojca. A Lucy będzie niepokieszona, jeśli...

Zamilkł. Amy przełknęła ślinę.

- Co mogę zrobić? - szepnęła. - Jak ci pomóc?

- Możesz... możesz mi towarzyszyć.

- Jako kto? Chcesz, żeby twoi bliscy uznali, że jesteśmy parą? - spytała zdumiona. -

Jak na to zareaguje twoja dziewczyna, kiedy przyleci na ślub?

Zmrużył oczy.

- Jaka dziewczyna? Przecież nie całowałbym ciebie, gdybym miał w Stanach... W ogóle skąd ci ten pomysł przyszedł do głowy? Czy Lucy mówiła, że się z kimś spotykam?

- Och, nie! Przepraszam. Po prostu na liście gości figurujesz jako „Jared Shaw z osobą towarzyszącą”...

Wzdychając ciężko, Jared wyciągnął z kieszeni palmtopa i obrócił go w stronę Amy.

- Osiem miesięcy w roku spędzam w podróżach służbowych, nadzorując nasze budowy, pozostałe cztery to praca po dwanaście godzin na dobę. Niewiele mi zostaje czasu na życie towarzyskie. Kobiety, które spotykam, są albo zameżne, albo zaręczone, albo tak samo jak ja pochłonięte pracą. Spójrz, tu jest mój terminarz do końca roku. No, śmiało, przejrzyj go sobie.

Zerknęła na gęsto zapisane daty i miejsca.

- Wyjazdy na cztery budowy na środkowym zachodzie. Tydzień we wrześniu we Francji, wtedy wypadają urodziny mojej mamy. Potem Nowy Jork, a w grudniu znów Londyn i praca z Billem Brooksem przy jego projekcie.

Usiadłszy z powrotem na krześle, Amy przygryzła wargę i wbiła wzrok w kubek z kawą.

- Nie chciałam cię urazić. Po prostu jesteś bogatym przystojnym mężczyzną, dlatego wydawało mi się, że na ślubie siostry pojawisz się z kobietą u boku. To wszystko.

- Nie uraziłaś, a za miłe słowa dziękuję. Swoją drogą przypuszczam, że otrzymałaś identyczne zaproszenie: „Amy Edler z osobą towarzyszącą”, prawda? I jeśli nie ukrywasz narzeczonego, to jedziemy na jednym wózku.

Zamknął palmtopa i po chwili niskim, ciepłym głosem kontynuował:

- Jesteś piękną i utalentowaną kobietą, Amy. Dziwię się, a zarazem bardzo się cieszę, że nie nosisz obrączki. Zatem czy zgodzisz się towarzyszyć mi na piątkowej kolacji? Proszę...

Miała ochotę rzucić mu się w ramiona.

- Zanim odpowiem, chciałabym o coś spytać, żeby mieć jasność. Czy byłabym tam w roli osoby, na której skupiasz uwagę, żeby nie musieć rozmawiać z ojcem? Czy zakochanej panienci, która tuli się do ciebie i trzyma cię pod stołem za rękę? Czy jednej i drugiej?

W kącikach jego oczu pojawiły się zmarszczki.

- Gdybyś mogła się wcielić w obie role, byłoby wspaniale. Zawsze chętnie potrzy mam cię za rękę, ale w piątek... po prostu jesteś mi potrzebna.

- Dobrze. Pójdę z tobą, ale nie jako twoja dziewczyna. Jako znajoma rodziny i drużna Lucy. - Odsunęła krzesło od stołu i wstała. - Skoro to uzgodniliśmy, chciałabym wrócić do malowania. Muszę przygotować pokój. Może komisja w końcu podejmie decyzję?

- Jaka komisja? W jakiej sprawie? Tego budynku?

- Och, nie! - Uśmiechnęła się promiennie. - W innej. Znacznie ważniejszej. Nell Waters musi zdecydować, czy niezamężna kobieta może zapewnić dziecku kochający dom.

Jared, który podnosił się z krzesła, ponownie na nie opadł. Bez siły. Jakby nagle uszło z niego całe powietrze.

- Myślisz o wzięciu dziecka na wychowanie czy o adopcji? - spytał cicho.

- Marzę o adopcji, chętnie starszej dziewczynki. Nell szuka odpowiednich kandydatów. Czekam już dwa lata. Dlatego śpieszę się z urządzeniem pokoju.

- No tak. - Spojrzał na zegarek. - Muszę lecieć.

Frank wkrótce przywiezie Lucy z Bellą do hotelu. Przepraszam...

Zaczął nerwowo obciągać mankiety.

- Jared? O co chodzi? Co się stało?

- Stało? A co się miało stać?

Wolnym krokiem Amy podeszła do Jareda i popatrzyła mu w oczy.

- Tamtego dnia, kiedy pojechaliśmy do domu dziecka... To nie był twój pierwszy raz, prawda? Już tam kiedyś byłeś?

Wciągnął z sykiem powietrze.

- Tak. Przez cztery dni. Mama z zapaleniem żołądka trafiła do szpitala. Frank pracował gdzieś na północy; chwilę trwało, zanim nas odnalazł. - Ścisnął ją za rękę. - To były najgorsze cztery dni w moim życiu. Zmieniły mój sposób patrzenia na świat. Podejrzewam, że to z ich powodu tak ciężko pracuję, starając się osiągnąć sukces w biznesie.

- I osiągnąłeś. - Uśmiechnęła się. - Ty, chłopiec, który wychowywał się na Haywood i Ashcroft. Powinieneś być z siebie dumny.

Puściwszy dłoń Amy, pogładził ją po policzku.

- Jesteś niesamowita. Mimo nawału zajęć i braku czasu chcesz przyjąć pod swój dach obce dziecko, dać mu szansę na lepsze życie. Podziwiam cię, ale... czy na pewno wiesz, w co się pakujesz?

- A jak myślisz? Edlerowie byli cudownymi ludźmi, Maria stawiała na głowie, żeby mi dogodzić. Ale ja byłam smutna, a zarazem wściekła z powodu śmierci rodziców. Pierwszy rok musiał być dla nich piekielnie trudny. Potrzeba czasu, aby zdobyć zaufanie dziecka. - Zaprowadziła Jareda w stronę półki, na której stała kolekcja zdjęć. - To są moi naturalni rodzice. Ten piegowaty szkrab w krótkich spodenkach to ja. Jesteśmy na wakacjach w Kornwalii.

Podniósł oprawione w ramkę zdjęcie i obejrzał je z zaciekawieniem.

- Fajny szkrab. Widać, że wyrośnie na piękność. A twoi rodzice sprawiali wrażenie bardzo szczęśliwych.

- Byli. - Amy odstawiła zdjęcie i wskazała kolejne, większe. - A to, wykonane rok temu w Wiedniu podczas świąt Bożego Narodzenia, przedstawia klan Edlerów; było nas tam ze trzydzieści osób. - Nagle roześmiała się. - Uprzedziłam Nell, że dziewczynka, którą dla mnie wybierze, będzie okropnie rozpieszczana przez swoich adopcyjnych dziadków. Ci ludzie na zdjęciu to moja rodzina, Jared. I pragnę się nią podzielić z jakimś skrzywdzonym przez los dzieckiem. Czy to źle?

- Przeciwnie. Bardzo dobrze. Ale wygląda na to, że nie ma w twoim życiu miejsca dla mężczyzny. I tego nie potrafię zrozumieć. - Poglądził ją delikatnie po policzku. - Muszę iść, ale zadzwonimy się jutro po twojej wizycie w biurze Clarissy.

Obróciwszy się na pięcie, skierował się ku drzwiom. A ona stała bez ruchu, czując na twarzy dotyk jego palców.

Środowe popołudnie i czwartkowy ranek spędziła na wytężonej pracy. Dokończyła malowanie, w cukierni klienci składali i odbierali zamówienia, a telefon się urywał. Na zmianę dzwoniła Lucy, Mike i zapłakana Bella.

Z rozkoszą porzuciła ten harmider i udała się spacerkiem na spotkanie z Elspeth, która była o wiele spokojniejsza niż poprzednim razem - spokojniejsza i ogromnie zaskoczona, że Amy nie jest w ciąży.

Po wyjściu z biura wędrowała słoneczną ulicą, wymachując firmową torbą, kiedy nagle usłyszała za plecami przeciągły gwizd. Wiedząc, kto to, w odpowiedzi pokręciła pupą. Po chwili Jared zrównał z nią krok i ujął ją pod łokieć.

- Bardzo mi się twoja reakcja podoba, ale mam nadzieję, że nie robisz tego zawsze, kiedy ktoś zagwizdże?

- Oczywiście, że zawsze. Jak inaczej mam zachęcać klientów? A ta metoda skutkuje.

Zmierzyła go wzrokiem. Miał na sobie koszulę, której kolory - błękit i biel - idealnie podkreślały opaleniznę. Wyglądał seksownie.

- Możesz zabrać rękę.

- Nic z tego. Ta ulica bywa niebezpieczna. Poza tym... - schyliwszy się, potarł brodą o jej szyję - przyda mi się odrobina wprawy przed jutrzejszym wieczorem. - Na moment zamilkł. - Wygląda pani fantastycznie, panno Edler. Choć przyznam się, że wolałem strój, w którym malowała pani pokój. A może pod spodem wciąż go pani ma na sobie?

Zatrzymał się i wspiał na palce, udając, że próbuje zajrzeć jej za dekolt.

Zatrzepotała zalotnie rzęsami.

- Za komplement dziękuję. A co mam pod spodem, tego się pan nie dowie. Przykro mi.

Ponownie ruszyli przed siebie.

- Na szczęście mam bujną wyobraźnię, a na myśl o fajnych majteczkach... Muszę podziękować za nie Belli.

- Ha, ha, bardzo śmieszne. A teraz bądź grzeczny i posłuchaj. Elspeth spisała się znakomicie, wszystko jest gotowe. A że fotograf dostał propozycję fotografowania wielbłądów w Mongolii, to nie jej wina.

- Wiem, facet... Po prostu niektórzy nie mają za grosz przyzwoitości. - Ścisnął mocniej jej dłoń. - Wyglądasz cudownie.

- Serio?

- Tak. I przepraszam za wczoraj. Nie powinienem cię szantażować moim smutnym dzieciństwem. Zrozumiem, jeśli będziesz chciała się wycofać.

Patrzyła pod nogi; nie potrafiła spojrzeć Jaredowi w oczy.

- Wiem, że zależy ci na szczęściu Lucy, a skoro Lucy chce zaprosić ojca, to ma prawo. To jej wielki dzień.

- Nie jestem pewien, ale mniejsza o to. Mamy ważniejsze sprawy do omówienia. Mogę zaproponować mały spacer?

Wzięła głęboki oddech. Wciąż patrzyła pod nogi, mimo że miała ochotę skakać z radości i głośno oznajmić światu, że ten przystojny mężczyzna, który idzie obok niej, trzyma ją za rękę. W świetle dnia. W miejscu publicznym.

Była tak zamyślona, że kiedy znów się odezwał, niemal się potknęła.

- Pewnie nie jadłaś lunchu? Ja wstąpiłem do Giorgio's; jak zwykle, jedzenie było pyszne.

- Nic dziwnego.

Na myśl o doskonałej włoskiej kuchni zaburczało jej w brzuchu; odruchowo przycisnęła do niego dłoń.

- Tak myślałem. Pochłonięta pracą zapominasz o posiłkach. Niedobrze. Jeszcze stracisz siłę, a moja siostra liczy na ciebie, jeśli chodzi o tort weselny.

Stanęli, czekając na zmianę świateł. Jared wskazał głową na firmową torbę, którą Amy trzymała w ręce.

- Masz tam coś jadalnego?

- Dwa rogaliki. Bo co?

- Wiesz, że budynek, w którym mieszkam, znajduje się po drugiej stronie tego parku? I że z Giorgio's dostarczają jedzenie do domu? Możemy...

- W Giorgio's nie robią dań na wynos.

- Robią. Dla wybrańców. - Uśmiechając się szeroko, skręcił w alejkę pod bukami. - Chodź, niech się kaczki nacieszą. Niecodziennie dostają rogaliki z Edlers. - Zerknął na jej szare płócienne buty. - Wygodne?

Amy westchnęła cicho.

- Wiesz, zamierzam zostać jedną z tych uroczych ekscentrycznych staruszek, które chodzą w kapciach po ulicy, a w kieszeniach noszą własne ciastka. Jedne dzieciaki będą mnie kochały, inne będą uciekały przede mną z krzykiem. Dla kaczek będą boginią...

- Wyobrażam to sobie. A skoro mowa o kaczkach... Para krzyżówek wyszła z wody i dreptała w ich kierunku, za nimi zaś podążało stadko młodych.

- Szukaj rogaliki!

Godzinę później Amy stała na tarasie, spoglądając na drzewa, na dachy domów i ruchliwe ulice miasta, które tak bardzo kochała. W powietrzu unosił się zapach rosnących w donicach kwiatów.

Poczuła lekkie ukłucie zazdrości; to musi być przyjemne codziennie podziwiać taki widok. Albo w letni poranek jeść na powietrzu śniadanie.

Zamknawszy oczy, wystawiła twarz do słońca. Dawno się nie opalała, dawno nie siedziała beczynn timer, po prostu odpoczywając. Nawet nie zauważyła, kiedy nastalo lato. Jednego dnia padał śnieg, drugiego było ciepło i słonecznie. Gdzie się podziała wiosna?

Nagle zrozumiała, że nie pasuje do tego luksusowego apartamentu z widokiem na park. Nie należy do tego świata.

Kiedyś należała. W czasach, gdy pracowała w bankowości. Wtedy była elegancką i zadbaną kobietą, która sporą część zarobków wydaje co miesiąc na fryzjera i kosmetykę.

Uśmiechnęła się na myśl o tym, ile godzin zmarnowała, przesiadując w salonach kosmetycznych. A potem spojrzała na swoje krótko obcięte, niepolakierowane paznokcie.

Nie, przestań, powiedziała sama do siebie. Powinna wrócić do cukierni. Teraz tam był jej świat.

- Ładny widok? - spytał Jared, wyrywając ją z zadumy.

- Fantastyczny. Jak trafiłeś na to mieszkanie?

- Szukałem wyjątkowego miejsca.

- I znalazłeś.

- Będzie mi go brakowało. Jedzenie będzie gotowe za kilka minut.

- Brakowało?

- Za tydzień, kiedy skończę w Londynie pracę, wystawię je na sprzedaż.

- Masz dom w Nowym Jorku?

- Jestem właścicielem całej kamiennicy. Mam nadzieję, że lubisz ziołowe linguine?

- Uwielbiam.

Wrzucił makaron do wrzątku, dodał szczyptę soli, po czym nastawił zegar.

- Sprawnie poruszasz się po kuchni - zauważyła Amy.

- Lucy pewnie nie pamięta tych przedziwnych dań, jakie wymyślałem w dzieciństwie. Mama zwykle wracała koło siódmej, więc kolacja była na mojej głowie.

- Niezłą miałaś szkołę gotowania.

- Na szczęście mogłem polegać nie tylko na własnej fantazji, ale również na poradnikach. Wypożyczałem je z miejscowej biblioteki. Pokochałem makarony i zupy. Niesamowite, co można zrobić z kostki rosółowej...

Zajrzała mu przez ramię. Poruszył ją smutek i ból, który pobrzmiwał w jego głosie. Dziś miała przed sobą prawdziwego Jareda Shawa. Niczego nie udawał, nie napinał się, nie żartował. Jedno wiedziała na pewno: jest to mężczyzna, który nie chce współczuć.

Po chwili otworzyła jedną szafkę, drugą.

- Może nakryję do stołu? Jeśli znajdę talerze...

- Czuj się jak u siebie.

- Pewnie to mówisz wszystkim dziewczynom.

- Tak sądzisz? Przyrządzanie posiłków w domu jest dziś niemodne. - Wskazał ręką szufladę. - Sztuće są tam.

Sięgnął wysoko po talerze. Koszula wysunęła mu się z dzinsów, odsłaniając kilka centymetrów brzucha. Amy wstrzymała oddech. Ostatni raz widziała tak wspaniale umięśnione ciało w agencji modeli, którą odwiedziła jako przedstawicielka swojego banku.

Zawsze ją pociągali muskularni mężczyźni. Jared przez wiele lat pracował w budownictwie. Nic dziwnego, że był umięśniony. Westchnęła.

- Dlaczego wzdychasz?

- Bo... - zawahała się - nie wyobrażam sobie, abym mogła sprzedać cukiernię, mieszkanie i przenieść się do innego kraju. Masz tu samochody, meble, swoje rzeczy... co z tym wszystkim zrobisz?

- Jestem przyzwyczajony do życia na walizkach.

Powstrzymała odruch, by rzucić mu się w ramiona, poczuć jego ciepło, powiedzieć mu, jak bardzo się jej podoba, jak silne wzbudza w niej emocje. Wiedziała, że musi wziąć się w garść, zapanować nad pożądaniem, nie dać nic po sobie poznać. Nie było wyjścia. Za kilka dni Jared opuści Londyn; wolał wielki świat, życie pełną piersią, zgiełk miasta, które ona porzuciła parę lat temu.

Patrzyła w milczeniu, jak drewnianą łyżką miesza sos.

- Pachnie wybornie.

- W torbie jest jeszcze focaccia. Giorgio twierdzi, że upiekł ją własnoręcznie... Poczekam na twoją opinię.

Amy wyjęła pieczywo i podniosła je do nosa.

- Rewelacja.

- Śmiało, odłam kawałek. Pewnie umierasz z głodu.

Zamieszał ponownie sos. Kiedy obejrzał się przez ramię, Amy z zamkniętymi oczami i wyrazem rozkoszy na twarzy przeżuwała kęs. Czegoś tak zmysłowego w życiu nie widział.

Podszedł do lodówki, otworzył drzwi, wciągnął w płuca łyk zimnego powietrza. Ledwo nad sobą panował, a przecież nawet nie dotknął Amy, tylko na nią patrzył.

Od dawna tak bardzo nie pragnął żadnej kobiety.

Za plecami usłyszał brzęk sztućców.

Czy tak to jest, kiedy się kocha i jest się kochanym? Kiedy dwoje ludzi przebywa z sobą codziennie, a nie spędza razem jedno popołudnie między przylotem a wylotem? Poznał Amy zaledwie parę dni temu i od razu poczuł... co? Na pewno coś więcej niż fizyczne zauroczenie.

Za kilka dni wróci do Stanów; wszystko znów będzie jak dawniej. Londyńskie mieszkanie sprzeda i zostaną mu tylko wspomnienia. Wyobraźnia zaczęła podsuwać mu obrazy Amy w łóżku...

- Masz ochotę na białe wino? - spytał, wyjmując z lodówki oszronioną butelkę.

- Dzięki, ale muszę jeszcze dziś popracować.

Zamknąwszy lodówkę, pokręcił ze zdumieniem głową.

- Serio? Zamierzasz wrócić do pracy?

- Oczywiście. Spróbuj... - Zsunęła się ze stołka i podała mu do ust kawałek bułki.

Niewiele się zastanawiając, zacisnął wargi wokół jej palców. Nastąpiła cisza. Przerwał ją terkot minutnika. Jared zaklął w duchu. Nie chciał rozstawać się z Amy; zostało im razem tak mało czasu.

- Faktycznie, pyszne - rzekł ochryłym głosem. - A teraz zapraszam panią, madame, na doskonale linguine. Później w imieniu Lucy muszę znaleźć upominki dla druhen i organizatorki wesela. Nie ukrywam, że liczę na twoją pomoc.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Na myśl o prezencie dla Clarissy oboje wybuchnęli gromkim śmiechem.

- Chętnie pomogę - powiedziała Amy, wycierając oczy. - Ale mnie nic nie kupuj.

Zbyt wiele zawdzięczam Lucy i Mike'owi...

- Zbyt wiele?

Odłożyła widelec.

- Co wiesz o moim... o moim wypadku?

- Nic. Lucy słowem mi o nim nie wspomniała.

- Dwa lata temu mieszkałam w Chicago. Umówiłam się po pracy ze znajomymi. Los chciał inaczej. Strzelił do mnie siedemnastolatek imieniem Dan, który w ramach przystąpienia do gangu miał za zadanie obrabować sklep. Odzyskałam przytomność w szpitalu. Twoja siostra i Mike na zmianę siedzieli przy mnie przez miesiąc.

Jared stanął za nią, objął ją w pasie i oparł głowę na jej ramieniu.

- O Chryste. Nie umiem sobie wyobrazić, co musiałaś czuć. Jeśli wolisz o tym nie rozmawiać...

- Nie, w porządku, teraz to już nie ma znaczenia. Zresztą może to było przeznaczenie? Gdyby ten chłopak do mnie nie strzelił, pewnie nie wróciłabym do Londynu.

Przez chwilę Jared milczał, zaskoczony jej spokojem.

- Nie rozumiem... Dlaczego Lucy nic mi o strzelaniu nie powiedziała?

- Prosiłam ją, żeby nikomu nic nie mówiła. Dotrzymała słowa. Byłam w straszliwym stanie. Wiesz, że Lucy prawie zemdląca, kiedy mnie zobaczyła? Ale pokonała strach i codziennie mnie odwiedzała. Możesz być dumny ze swojej małej siostrzyczki. Ona naprawdę zasługuje na to, żeby mieć najlepszy ślub na świecie. - Obróciła się twarzą do Jareda. - Wiele im zawdzięczam, Lucy i Mike'owi. W dodatku bardzo mnie oboje wspierali, kiedy postanowiłam rzucić nudny świat biznesu i zostać cukiernikiem.

- Zaskoczyłaś mnie. Nie przypuszczałem, że Lucy okaże się tak dzielna. - Serwetką wytarł pojedynczą łzę, która spłynęła Amy z oka. - A ty... jak się obecnie czujesz? Co mówią lekarze?

- Że miałam ogromne szczęście. Gdyby kula przeszła o centymetr bardziej w prawo lub w lewo... A tak to nic mi nie dolega. Oczywiście poza lekką traumą. - Roześmiała się, ale nie był to wesoły śmiech.

Oswobodziwszy się z uścisku, zaczęła zbierać talerze. Nie chciała współczucia. Nie chciała się rozkleić.

- Więc bez upominku dla mnie.

Skinął głową.

- Dobrze. Ale co innego upominek od panny młodej, a co innego drobiazg od jej brata. - Zawahał się. - Może się trochę pośpieszyłem...

- Już zaczynam się bać.

- Nie, niepotrzebnie. Nasz przyjaciel Frank Richards...

- Będzie wiózł Lucy do ślubu?

- Oczywiście. Ale nie o to chodzi... Tylko się na mnie nie złość. Otóż wspomniałem Frankowi, że pewna śliczna dama o imieniu Hannah potrzebuje troskliwej opieki...

Amy zamarła w bezruchu, po czym wolno się obróciła.

- Nie powiesz mi chyba, że...

- Ależ skąd! - zaprotestował Jared. - Bez twojej zgody nie tknąłby jej zardzewiałych boków. Ale mógłby rzucić okiem na staruszkę i ocenić, co zrobić, aby odzyskała dawny wigor.

- To wszystko? Tylko rzuciliby okiem?

Jared skinął głową.

- Nie odwiózłby jej na złom?

- Wykluczone.

- Uff! - Zadrżała. - Ale mnie wystraszyłeś! - Uśmiechnęła się pod nosem. - Wiesz, to chyba dobry pomysł. Mam do Franka zaufanie. Tak, niech obejrzy Hannah. - Nagle, zmrużywszy oczy, popatrzyła na Jareda. - On już to zrobił, prawda?

- Powiedziałem mu, że to pilne. Obiecał, że zadzwoni do mnie wieczorem i zda sprawozdanie.

- Dlaczego nie do mnie?

- Bo to mój prezent dla ciebie. Odnowiona Hannah.

Amy usiadła na krześle.

- Masz pojęcie, ile to będzie kosztować?

- Owszem. Zapominasz, że pracowałem u Franka w warsztacie. Gdyby czas mi pozwolił, sam bym się wszystkim zajął, a tak to Frank zabawi się w cudotwórcę. Nie zniósłbym myśli, że Hannah kolejną zimę spędza pod gołym niebem, że rdza ją pożera i...

- Okej, masz rację. Zresztą sama też o tym myślałam. Większość klientów osobiście odbiera towar, ale duże restauracje chcą, żeby im dostarczać zamówienia. Pewnie na czas naprawy mogłabym wynająć jakiś van... Jared potrząsnął przecząco głową.

- Dlaczego nie?

Sięgnąwszy do kieszeni, wyjął zestaw kluczyków.

- Możesz korzystać z mojego SUV-a. Mnie już nie jest potrzebny, a Frank twierdzi, że dostałbym za niego grosze. Co ty na to?

Pomachał jej przed twarzą kluczykami. Amy schowała rękę za siebie: oferta była zbyt kusząca.

- Co ja na to? Dziękuję, to bardzo miłe z twojej strony, ale nie skorzystam. Nawet chciałam cię prosić o przysługę, ale teraz mi głupio.

Wzruszywszy ramionami, wrzucił klucze do jej torebki.

- Zostawiam na wypadek, gdybyś zmieniła zdanie. O jaką przysługę? No, śmiało.

- Nie lubię prosić o pomoc.

- Zauważyłem. Tym bardziej jestem ciekaw. Cóż może być ważniejszego od Hannah? Nowe okno wystawowe? Wakacje na Bahamach?

- Prowadzisz firmę budowlano-deweloperską...

- Uhm. Co ci się marzy? Gruntowny remont? Nowy dach? Muszę przyznać, że obecny nie wygląda najlepiej.

- Matka Trixi, która porusza się na wózku, potrzebuje sprawnie działającego prysznic. Może znasz kogoś, kto za stosunkowo nieduże pieniądze naprawiłby ten zepsuty?

Zmarszczył czoło i w milczeniu pokiwał głową.

- Jesteś doprawdy niezwykła. - Wyciągnął z szuflady długopis i kartkę. - Zapisz mi jej adres i nazwisko, a także nazwisko właściciela domu. W poniedziałek rano, punktualnie o dziewiątej, zjawi się moja ekipa.

- Serio? - Zarzuciła mu ramiona na szyję i pocałowała w oba policzki. - Dziękuję.

Puściwszy go, chwyciła kartkę i zanotowała adres. Zastanawiał się, jak by zareagowała, gdyby zaproponował, że przy okazji wyremontuje kuchnię?

Weszła do salonu, wycierając ręce o ściereczkę. Zamierzała spytać Jareda, czy ma ochotę na jeszcze jedną kawę. On jednak spał jak zabity na ogromnej kanapie. Skórzane buty leżały obok na ręcznie tkanym dywanie.

Miała wrażenie, że czas się zatrzymał. Kiedy tak stała, bez słowa patrząc na opięty koszulą tors, na wznoszącą się i opadającą klatkę piersiową, na pokrytą lekkim zarostem twarz i zmysłowe wargi, poczuła dziwne klucie w sercu.

Jared poruszył się we śnie. Cichutko, by go nie obudzić, podniosła jego marynarkę i zbliżyła do nosa. Mm, odurzył ją zapach wody po goleniu i czegoś jeszcze, czegoś, co czuła, gdy kilka godzin temu Jared przytulił ją do siebie. Zamknęła oczy. Po prostu to był jego zapach. Wyobraziła sobie, jak tuli twarz do jego ociekającego wodą ciała...

Przerażona otworzyła oczy i odsunęła od siebie marynarkę jak najdalej. Idiotko, zachowuj się rozsądnie!

Wiedziała, że powinna wyjść. Natychmiast. Zanim Jared się obudzi i przyłapie ją na obwąchiwaniu jego ubrań.

Westchnęła ciężko. A on uniósł powieki.

- Boże! Długo spałem? - Usiadłszy, przeczesał palcami włosy. - Przepraszam cię za moje okropne maniery.

- Kilka minut. I nie żartuj. Ostatnie dni miałeś bardzo zajęte, a różnica czasu też robi swoje.

- Jesteś nadzwyczaj wyrozumiała. W dodatku pracujesz, kiedy ja się lenię. Chodź tu. - Poklepawszy kanapę, wyciągnął do Amy rękę. Odskoczyła. - Pogadajmy o życiu.

- O życiu? A cóż chcesz wiedzieć?

- Na przykład... dlaczego pracujesz w Edlers zamiast w jakimś londyńskim banku?

- To proste. - Zaczęła wycierać kolejny talerz, jakby chciała zająć czymś ręce. -
Leżąc w szpitalu, człowiek ma czas pomyśleć o priorytetach. Zawsze marzyłam o tym,
aby kiedyś przejąć rodzinną cukiernię. I tak zrobiłam.

- No dobrze. Ale dlaczego pracujesz sama?

- Z powodu pieniędzy. Nie stać mnie na personel. Ale Trixi zaczyna college dopiero
we wrześniu i do tego czasu będzie mi pomagać. No co?

- Trixi? Musisz bardzo w nią wierzyć...

- Odkąd skończyła trzynaście lat, opiekuje się matką. Dawniej w drodze do szkoły
wpadała do mnie z koleżankami. Któregoś dnia została dłużej i spytała, czy mogłaby u
mnie popracować ze dwie godziny w zamian za kilka ciastek i bułek. Ona potrafi dosko-
nale gotować...

- Nie doceniłem jej. Dobrze wiem, jak ciężko jest nastolatkom, które muszą trosz-
czyć się o dom...

Amy umyła zlew, następnie zaczęła wycierać blat. Jared obserwował ją w milcze-
niu.

- Wróciłaś do pracy? To znaczy po wyjściu ze szpitala?

- Dostałam półroczny płatny urlop zdrowotny. Kiedy lekarze wyrazili zgodę, wsia-
dłam w samolot i przyleciałam do Anglii. Zamieszkałam z moją adopcyjną matką. W jej
domu powoli odzyskiwałam siły. Lekarze radzili mi, żebym dużo wypoczywała. Powie-
dzieli też...

- Co?

Odłożyła ściereczkę.

- Że powinnam zmienić pracę na mniej stresującą. A potem, całkiem nieoczekiwa-
nie, Walter Edler i jego żona podjęli decyzję sprzedania Edlers Bakery i powrotu do Au-
strii. Postanowili zabrać z sobą Marię i razem otworzyć pensjonat. Miesiąc później prze-
jęłam od nich cukiernię. Od tamtej pory minęły prawie dwa lata.

- A co z twoją karierą w bankowości?

- Wszyscy, mój szef, przyjaciele, nawet mama sądzili, że w ciągu sześciu miesięcy
znudzi mi się zarówno cukiernia, jak i Londyn. Mylili się. Uwielbiam to miasto. A z
Edlers wiążą się moje najszcześniejsze wspomnienia. Owszem, przeżyłam szok, kiedy

zobaczyłam, w jakim stanie jest budynek. Ale nie żałuję, że odkupiłam od Waltera ich firmę. Teraz Edlers należy do mnie.

- Czyli zrezygnowałaś ze wszystkiego? Z kariery, z życia, jakie wcześniej wiodłaś...

- Zamieniłam jedno życie na inne.

- I naprawdę niczego ci nie brak?

- Drobnych rzeczy. Dużej łazienki z wanną. Funduszu reprezentacyjnego. Wakacji.

- A co w tym czasie robił twój facet? Lucy mówiła mi o Ethanie, druźbie Mike'a.

Czy był z tobą, kiedy...

- Zerwaliśmy osiem miesięcy przed moją przeprowadzką do Chicago. Przyleciał z Australii, kiedy tylko dowiedział się o strzelaninie. Kilka tygodni spędził w szpitalu przy moim łóżku, szczęśliwy, że żyję. Nadal się przyjaźnimy.

Jared podszedł do niej i ujął jej twarz w dłonie.

- Jesteś piękna, Amy. A Ethan był idiotą, że pozwolił ci odejść.

Odsunęła się i uśmiechnęła smutno.

- To nie jest tak, że pozwolił mi odejść. Po prostu oboje zrozumieliśmy, że nasze uczucie się wypaliło i nie ma sensu tego ciągnąć. Rozstaliśmy się w przyjaźni. Nie myśl o nim źle. Tym bardziej że będzie na ślubie Lucy, w dodatku ze swoją narzeczoną. Która na pewno jest wspaniałą dziewczyną.

- Zdania nie zmienię. Ale ciekaw jestem...

- Czy?

Popatrzył w jej zielone oczy.

- Czy zechcesz dać innemu mężczyźnie szansę, aby ci pokazał, jak niezwykłą jesteś kobietą?

Amy wzięła głęboki oddech i szybko, zanim ją strach obleciał, udzieliła mu bardzo poważnej odpowiedzi.

- Myślę, że tak. Miło słuchać komplementów i od czasu do czasu dostawać czekoladki albo kwiaty. Więc kiedyś w przyszłości...

- Dlaczego dopiero w przyszłości? Dlaczego nie teraz? Nie dziś? Nie ze mną?

- Nie poddajesz się... - W jej głosie pojawiła się nuta ostrzeżenia.

- Nie jestem dla ciebie dość dobry? Czy boisz się, że za bardzo ci się spodobam?

- Daj spokój. Za kilka dni wracasz do Stanów, zresztą pokazywałeś mi swój terminarz. A ja tu mam swój biznes. Sam wiesz, że nic by z tego nie wyszło. I nie, nie interesuje mnie krótki romans.

- To dobrze. Bo mnie też nie.

Popełniła błąd: spojrzała mu w oczy. I już nie potrafiła zaoponować, kiedy Jared pochylił się i przywarł ustami do jej ust. Co za rozkosz! Zamknęła oczy i skupiła się na doznaniach, na długim powolnym pocałunku.

Obejmując Jareda za szyję, odwzajemniała pocałunek. Stawał się coraz gorętszy, a ich oddechy coraz szybsze. Jared przysunął się bliżej...

Gdzieś z tyłu głowy słyszała głos rozsądku, który wołał, aby zastanowiła się nad tym, co robi.

Usta Jareda wędrowały po jej policzku, brodzie, szyi.

- Zaryzykuj, Amy - szeptał. - Daj nam szansę. Chcę być z tobą, chcę cię kochać, chcę ci pokazać, jaka jesteś piękna. Proszę, nie bój się. Spróbuj mi zaufać.

Uniosła powieki. Oczy Jareda były zamknięte, a jego twarz... Och, nie powinna; wiedziała, że będzie żałować. Wsunęła palce w jego gęste, krótko ostrzyżone włosy.

- Zaufać, powiadasz? To by znaczyło, że nie możesz zniknąć bez słowa. Czy stać cię na długi związek?

- Nie wiem. Ale chciałbym spróbować. Daj mi szansę. Nam. Daj nam szansę.

Poczuła niesamowity ucisk w sercu. Jared wpatrywał się w nią błagalnie, jakby spojrzeniem usiłował wpłynąć na jej decyzję. Powoli jej opór topniał.

Czasem warto zaszaleć, zdać się na intuicję, ulec impulsowi. Uśmiechnęła się szeroko. Była pijana ze szczęścia. Jego zapach, dotyk, bliskość działały na nią upajająco.

Obrysowała palcem dolną wargę Jareda; odruchowo rozchylił usta. Nie potrafiła oderwać oczu od jego twarzy. Od czasu Ethana i strzelaniny w sklepie nie dotykała żadnego mężczyzny i żaden jej nie dotykał. Pieszczoty Jareda przerażały ją. I podniecały.

Pragnęła, by ją całował. Żeby tulił i pieścił. Sprawy zaszły zbyt daleko, aby potrafiła go odtrącić. Przywarł ustami do jej warg. Zacisnęła powieki i odpłynęła do krainy marzeń.

Nagle łzy wezbrały w jej oczach. Usiłowała odwrócić głowę, żeby Jared ich nie dojrzał. Za późno. Pojedyncza łza spłynęła jej po twarzy. Delikatnie ją otarł.

Jak mogła wątpić we wrażliwość Jareda, w to, czy jest zdolny do okazywania uczuć?

Miała wrażenie, jakby знаła go całe życie, a przecież pierwszy raz pocałował ją zaledwie kilka dni temu.

Opuszką palca pogładziła go po czole, nosie. Dziś już wiedziała, że drobne zmarszczki w kącikach oczu są nie tylko wynikiem śmiechu. Jared nie miał lekkiego życia. Z miłości do matki i siostry wiele razy podejmował ryzyko; poświęcał się dla osób, które kochał.

Wsunął rękę w jej miękkie włosy, odgarnął z twarzy, po czym przycisnął usta do jednej powieki, drugiej...

Po chwili obie ręce powędrowały w dół, objęły Amy w pasie. Przytulił ją do siebie. Serce waliło jej młotem, krew dudniła w skroniach. Po raz pierwszy od dawna czuła się atrakcyjna, pociągająca. Resztki kontroli powoli ją opuszczały. Liczyła się tylko ta chwila.

Tylko ten mężczyzna.

Uświadomiła sobie, że potrzebuje go równie mocno, co on jej. Jak to się stało? Dlaczego tak dobrze jej w jego objęciach? Dlaczego tak bardzo podoba jej się, kiedy gładzi ją po włosach, całuje po szyi, pociera zarostem o jej skórę?

Chciała, by całował ją bez końca, raz po raz. Westchnęła błogo. Miała wrażenie, że unosi się w powietrzu. Że tak wygląda raj na ziemi.

Nie przerywając pocałunku, Jared wsunął rękę pod jej sweter. Pieścił jej gołe ciało, a ją zalewała narastająca fala podniecenia. Zamknęła oczy. Och, jak dobrze...

Na moment ręka znieruchomiała, potem palce zaczęły odpinać guziki. Chwilo, trwaj! - chciała zawołać Amy. Pragnęła Jareda. Chciała, żeby...

Żeby przestał! Słyszała wewnętrzny głos, który ostro protestował. Odsunęła się. Przez kilka sekund, zanim Jared się zorientował, że to koniec, na jego twarzy malował się wyraz szalonej namiętności.

- Przepraszam. Myślałam, że jestem gotowa. Ale... ale nie jestem. Przykro mi.

Zmarszczył brwi, usiłując zrozumieć, co Amy mówi. Wreszcie wziął głęboki oddech, właściwie kilka oddechów, i wolno, lewą ręką, zapiął z powrotem jej sweter, następnie pogładził Amy po twarzy i przyciągnął do siebie.

Przyłożyła głowę do jego piersi. Słuchała przyśpieszonego bicia serca, wiedząc, że to z jej powodu bije tak mocno. W powietrzu unosił się lekki zapach potu zmieszany z zapachem wody po goleniu. Pokrytą zarostem brodą Jared podrapał ją po czole.

- Nie mogę zagwarantować, że zdołam utrzymać ręce przy sobie, bo niesłuchanie trudno się pani oprzeć, panno Edler.

Uśmiechnęła się w duchu. Też nie była pewna, czy zdoła mu się oprzeć. Ponieważ nie odezwała się, Jared lekko się odsunął, by móc popatrzeć jej w oczy.

- Poczekam, aż będziesz gotowa - obiecał cicho.

Skinęła głową, a on ponownie ją pocałował. Jeszcze nikt nie całował jej tak pięknie, tak delikatnie i czule.

- Bardzo trudno ci się oprzeć. Ale robi się późno...

- Jutro cały dzień spędzam z Lucy, jeszcze nie znam jej planów, więc zobaczymy się dopiero wieczorem. Wpadnę po ciebie - rzekł, cmokając ją w nos.

- Dobrze. A tymczasem nikogo nie całuj.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Kwiaty z cukru okazały się nie lada wyzwaniem.

Przygryzając wargę, Amy w skupieniu rzeźbiła idealną lilię, dokładnie taką samą jak kwiat leżący na stole. Po chwili cofnęła się i przyjrzała krytycznie swemu dziełu.

Skinęła z zadowoleniem głową.

Nieźle. Całkiem nieźle. Lucy miała rację: Elspeth z kwiaciarką wymyśliły cudowny bukiet, a na torcie polanym białą czekoladą lilie i żółte róże będą się prezentowały znakomicie. Wyobraziła sobie zielone listki, szkarłatne pręciki, złociste płatki...

Tak, chyba wyjdzie prawdziwe dzieło sztuki, z którego będzie mogła być dumna. A bardzo potrzebowała czegoś, co by podbudowało jej ego.

Nagle spojrzała na zegar i aż krzyknęła. Czas zleciał nie wiadomo kiedy. Cholera, musi jeszcze wykonać róże na tort oraz kilkanaście malutkich różanych pąków jako ozdoby na torby z upominkami.

Starając się nie panikować, wzięła się pośpiesznie do pracy. Zaczęła formować kwiaty, kiedy z części sklepowej doleciał ją znajomy głos. Po plecach przebiegł jej dreszcz. Spodziewała się Jareda dopiero za kilka godzin!

Serce jej załomotało, na czole wystąpiły kropelki potu... A zawsze uważała się za osobę chłodną i opanowaną.

Sam dźwięk jego głosu sprawił, że poczuła się... pełna. Niewybrakowana. To było tak, jakby od dłuższego czasu miała pustkę w sercu, której nie potrafiła wypełnić. Aż do teraz. Od samego rana na myśl o Jaredzie chodziła uśmiechnięta. Cieszyła się, że wieczorem go zobaczy. Perspektywa spędzenia kilku godzin w jego towarzystwie dodawała jej skrzydeł.

I oto się zjawił, choć do wieczora zostało jeszcze sporo czasu. Po prostu odsunął na bok zasłonkę i wszedł do kuchni.

- Dzień dobry, śliczna pani.

Zakręciło się jej w głowie.

- Dzień dobry, przystojny panie. Co za miła niespodzianka. Wydawało mi się, że cały dzień spędzasz z Lucy?

Wyciągnął stołek, usiadł i oparł łokcie o blat roboczy. Amy z trudem oderwała od niego wzrok.

- Zgadza się, ale zostałem tu przysłany z misją. Na przespiegi. Mam sprawdzić, jak postępuje praca nad słynnym tortem weselnym i w ciągu godziny złożyć raport. W przeciwnym razie Lucy z Bellą i moją matką ponownie udadzą się na zakupy. Błagam, ratuj mnie! A raczej moje konto!

Wybuchnęła śmiechem.

- Dzielny szpieg. Czyli co, chcesz znać szczegóły?

Skinąwszy głową, błysnął zębami w uśmiechu.

- No dobrze. Lucy prosiła o tort trzypiętrowy. Wszystkie „piętra” będą z czekolady, ale każde z innej. I tyle, więcej Lucy nie musi wiedzieć.

- W porządku, nic więcej jej nie zdradzę.

Uniosła pokrywkę dużego plastikowego pojemnika.

- To jest dolna warstwa. Powąchaj.

Przysunął nos do pojemnika.

- Mmm...

- Ciasto maślane z gęstą gorzką czekoladą, do tego zmielone migdały i czekoladowa polewa z dodatkiem czekoladowego likieru.

Zerknął w stronę lodówki.

- A pozostałe dwie warstwy?

- Z wierzchu będzie biszkopt waniliowy z białą czekoladą, a w środku ciasto o smaku mocca-cappuccino. Myślisz, że się Lucy spodoba?

- Będzie zachwycona. - Wskazał głową na kamienną płytę. - A te kwiaty?

- Przybranie. Żółte cukrowe róże pachnące wanilią.

Obserwował w milczeniu, jak Amy małymi narzędziami nadaje kształt płatkom. Jeden pękł na kilka drobnych części.

- Masa za bardzo już wyschła. Na dziś dosyć.

Wrzuciła połamany kawałek do ust, czubkiem języka zlizując z dolnej wargi okruszki. Jared zamruczał cicho.

- Zrób to jeszcze raz - poprosił.

- Bądź grzeczny! - skarciła go z uśmiechem, po czym przeniosła ostatni kwiatek na płaską tacę, na której leżały lilie i róże w różnym stadium kwitnienia. - Dobra, koniec.

Oparła się o stół i popatrzyła usatysfakcjonowana.

- Właściwie wszystko jest gotowe. Jutro rano potrzebuję pół godziny na drobne poprawki i umieszczenie kwiatów.

- Wprawdzie nie jestem znawcą, ale na moje oko wykonała pani kawał świetnej roboty, panno Edler.

- Jest pan bardzo miły, panie Shaw. - Dygnęła w podzięcie, po czym przeszła do zlewu, by umyć ręce.

- Poprosiłem fotografa, żeby porządnie obfotografował tort. Darmowa reklama zawsze się przyda; kto wie, może zyskasz nowych klientów? - Na moment zamilkł. - A teraz mam ważne pytanie odnośnie dzisiejszego wieczoru...

Oczy błyszczały mu figlarnie. Amy zdjęła fartuch.

- Słucham?

- Czy włożysz na kolację swoje powabne majteczki?

Parsknęła śmiechem, po czym sprawdzając, czy nikt w części sklepowej jej nie widzi, uniosła brzeg granatowej bluzki i odsłoniła jedwabną halkę w kolorze czerwonego wina.

- Lubisz seksowną bieliznę?

Zmierzył ją wzrokiem pełnym zachwytu, następnie zbliżył jej dłoń do swoich ust.

- Wyglądasz niesamowicie pięknie bez względu na strój. Wpadnę po ciebie wpół do ósmej.

- Świetnie. I dziękuję. - Cmoknęła go lekko w nos.

- Czeka nas niezapomniany wieczór.

Dochodziła szósta, kiedy Amy wreszcie uznała, że Trixi i jej koleżanki mają wszystko, aby mogły samodzielnie, bez jej pomocy i nadzoru, poprowadzić interes. Po raz pierwszy od dwóch lat zamierzała spędzić cały sobotni dzień poza cukiernią.

Nie był to jedyny powód, dlaczego się denerwowała. Za kilka godzin miała się spotkać z Lucy Shaw, jej nieobecny od lat ojcem, matką, ojczymem, narzeczoną

Mike'em, jego siostrą Bellą, no i oczywiście Jaredem, bratem panny młodej. Kolejnym wyzwaniem będzie spotkanie z Ethanem i jego narzeczoną, ale to dopiero jutro.

Jakoś trudno jej było wyobrazić sobie dzisiejszy wieczór. Będą siedzieć koło siebie, ona i Jared, i prowadzić kulturalną rozmowę jak dwoje znajomych? Przyjaciół? Kochanków? Którymi wprawdzie jeszcze nie byli...

Wyciągnęła się na łóżku, zamknęła oczy i ponownie zaczęła odtwarzać w myślach cudowne doznania towarzyszące ich pocałunkom. Wczoraj tak długo rozmyślała o Jaredzie, że niewiele spała w nocy. Za półtorej godziny znów się zobaczą. Będą w tym samym pokoju, będą - spoglądać na siebie ukradkiem...

Jak to możliwe, że zapach jego wody nadal unosi się w powietrzu? Zupełnie jakby Jared stał gdzieś obok.

Przysunęła rękę do policzka, gdzie wcześniej spoczywała jego dłoń. Ale po chwili ją cofnęła.

Psiakość! Czy musiała zadurzyć się akurat teraz? Na tym etapie swojego życia? I czy obiektem jej westchnień musi być starszy brat Lucy Shaw? Mieszkający w Nowym Jorku bogaty biznesmen, który obraca się w wielkim świecie i w dodatku jest zabójczo przystojny?

Promienie słońca padały przez otwarte okno na wiszące w szafie ubrania. Nadeszło lato, było ciepło, a ona nie miała co włożyć. W zwykłym codziennym stroju nie mogła pójść na kolację z ludźmi, którzy zarabiają krocie.

Po przeprowadzce do Londynu sprzedała lub oddała większość swoich eleganckich sukni. Po co jej suknie balowe od znanych projektantów, skoro nie wybierała się na żadne bale? I po co suknie głęboko wycięte, bez rękawów, skoro musi zakrywać dekolt?

Zostawiła sobie jedną, z którą nie potrafiła się rozstać.

Wstawszy z łóżka, pociągnęła w dół suwak pokrowca. Jej oczom ukazała się wąska ciemnozielona suknia koktajlowa od Chanel, którą z okazji swoich dwudziestych pierwszych urodzin dostała od Marii Edler. Suknia była przepiękna, z atłasu, ozdobiona najwspanialszym haftem, jaki Amy kiedykolwiek widziała. W takiej kreacji każda kobieta czułaby się wyjątkowo, jak Kopciuszek na balu. Problem polegał na kroju: materiał był

lekko plisowany w biuście i zebrany nad jednym ramieniem; drugie ramię pozostawało odsłonięte.

To Lucy wpadła na pomysł zakrycia widocznej blizny koronkowym bołerkim; spędziły dwa weekendy na lataniu po sklepach. Pomysł okazał się strzałem w dziesiątkę. Amy była zachwycona. Podwójny naszyjnik z prawdziwych pereł skupiał uwagę na jej długiej szyi, odciągał zaś od blizny, która mogła prześwitywać spod koronki.

Ubrała się i zapięła z boku suwak. Suknia leżała idealnie, a ona czuła się w niej znakomicie: świeżo i elegancko. Z lustra patrzyła dawna Amy, nieulekła, gotowa na podbój świata. Zmieniła pozycję, pochyliła się... Dobrze. Widać tylko malutki fragmencik blizny, który wtapiał się w jej jasną skórę. No właśnie, przebywać na słońcu też już nie mogła. Przekonała się, że w miejscu blizny skóra się nie opala.

Uśmiechnęła się do swojego odbicia i sięgnęła do zamka błyskawicznego. Wtem zawahała się. Dlaczego miałyby tak nie wystąpić? Być dawną Amy? Jako dziecko lubiła udawać, że jest kimś innym niż w rzeczywistości. Postanowiła na kilka godzin przeobrazić się w błyskotliwą, pewną siebie kobietę pozbawioną kompleksów.

W kobietę, która idzie na randkę z przystojnym Jaredem Shaw.

Z zadumy wyrwało ją głośne pukanie do drzwi. Po chwili do pokoju zajrzała uśmiechnięta twarz.

- Hej, moja druhno!

- Lucy? Nie spodziewałam się ciebie. Jaka miła niespodzianka! Wejdz. Boże, chyba się nie rozmyśliłaś?

Przyjaciółka roześmiała się wesoło.

- Nie żartuj! Po prostu ogarnęły mnie wyrzuty sumienia, że tak mało czasu spędzam z tobą. Poza tym przyszłam spytać, jak się czujesz w drugą rocznicę wypadku?

- W porządku. Staram się nie roztkliwiać nad sobą, tym bardziej że muszę podjąć parę ważnych decyzji w życiu. No, chodź, usiądź i poradź mi z kreacją od Chanel. W czarnej sukni Jared widział mnie na balu charytatywnym, więc...

Lucy przysiadła na brzegu łóżka.

- Wiesz, że przez całą drogę z Francji opowiadał mi o tobie? Jaka to jesteś niesamowita, jaka wspaniała. Podejrzewam, że mój brat będzie zachwycony, nawet jeśli pojawisz się w fartuszku kuchennym.

- To niezwykły człowiek - powiedziała Amy, z rozmarzeniem spoglądając przez okno.

Lucy wciągnęła powietrze i poderwawszy się z łóżka, rzuciła się przyjaciółce na szyję.

- Och, Amy! Przyznaj się: zakochałaś się w Jaredzie? To fantastyczne! On wie? Mówiłaś mu? Nie masz pojęcia, jak się cieszę!

- Zaraz, zaraz. Lubię Jareda, nawet bardzo, ale on mieszka w Stanach, a ja w Londynie. To by się nigdy nie udało.

- Dlaczego? Byłaś taka szczęśliwa z Ethanem! Tylko nie zaprzeczaj!

- Owszem, byłam. Spędziliśmy z sobą cztery cudowne lata. Ale teraz sytuacja wygląda zupełnie inaczej. Wiesz, o co mi chodzi. Widziałaś bliznę.

- Daj Jaredowi szansę, żeby mógł ci udowodnić, jakim jest człowiekiem. Jemu naprawdę na tobie zależy. Bardziej niż na jakiegokolwiek innej kobiecie. Nie przestaje o tobie mówić. W dodatku się śmieje!

- Dlatego powinnam odejść teraz, zanim oboje się zaangażujemy. Zanim Jared zobaczy moją bliznę. Zanim ja dojrzę w jego oczach współczucie lub obrzydzenie. Tego bym chyba nie wytrzymała.

Lucy objęła przyjaciółkę i przytuliła mocno.

- Zaslugujesz na szczęście bardziej niż ktokolwiek inny. Tak wiele przeszłaś. Kto wie, może znalazłaś miłość? Może ty i mój brat jesteście sobie przeznaczeni?

- Zdajesz sobie sprawę, że Jared nigdy nie przestanie się o ciebie troszczyć?

Lucy wzruszyła ramionami.

- Tak. Boże, ileż lat szukałam mężczyzny, który zyska jego akceptację! Do Mike'a na szczęście nie ma zastrzeżeń, ale sądzę, że co jakiś czas będzie poddawał go ocenie. - Na moment zamilkła. - Chciałabym, żeby też ułożył sobie życie. Nie przekreślaj go, Amy. Daj mu szansę. Zwłaszcza teraz.

Coś w jej głosie sprawiło, że Amy nadstawiła uszu.

- Zwłaszcza teraz? Dlaczego?
- Muszę ci o czymś powiedzieć. Usiądź.
- Zaczynam się bać. No, mów.

Lucy wzięła głęboki oddech.

- Dobrze. Po pierwsze, wiem, ile dla ciebie znaczy twoja cukiernia. Ile włożyłaś w nią pracy.

Strach chwycił Amy za serce. Wiedziała, że cokolwiek Lucy teraz powie, nie będzie to nic miłego.

- Sieć Noodles & Strudels zamierza w ciągu pięciu lat otworzyć w Anglii dziesiątki kafejek. Bill Brooks chce zacząć od sześciu wzorcowych w Londynie. Pierwsza z nich...

- Lucy zamilkła, a potem wszystko wyrzuciła z siebie jednym tchem: - Jared mówił mi, że pokazał ci budynek na Haywood. Ten, w którym mieszkaliśmy jako dzieci. W każdym razie dziś po południu Brooks spytał, czy nie dysponujemy jakąś nieruchomością w tej części miasta, bo on szuka lokalu, który nadawałby się na ekskluzywną kawiarnię w stylu wiedeńskim. Lokal na Haywood idealnie pasuje do jego potrzeb. A Bill jest człowiekiem, który nie spocznie, dopóki nie zdobędzie upatrzonego celu. Nawet zagroził, że jeśli mu nie sprzedamy...

Sens tych słów dotarł do Amy z lekkim opóźnieniem, ale gdy w końcu zrozumiała, co przyjaciółka usiłuje jej powiedzieć, poczuła zawroty głowy. Przez moment nie była w stanie oddychać.

- Przykro mi, kochanie. Wiem, że to może mieć niekorzystny wpływ na twój biznes. Chociaż niekoniecznie. Bo mogłabyś rozszerzyć działalność. Zamiast polegać na klientach detalicznych, mogłabyś dostarczać swoje produkty do sklepów i restauracji. Co ty na to?

Amy poderwała się z łóżka i zaczęła krążyć po pokoju. Prawą dłoń trzymała przyściśniętą do lewej piersi; pod palcami czuła zgrubienie blizny.

Z Edlers wiązała swoją przyszłość; kochała to miejsce, była z nim związana emocjonalnie. Wiedziała, że znaczna część jej młodych klientów byłaby zachwycona, mogąc spędzić godzinę w luksusowej kawiarence. Ale to ona chciała stworzyć taką kawiarenkę!

To było jej marzenie! Bill Brooks nie może jej tego odebrać! Nie teraz. Nie po tym, jak dwa lata ciężko harowała na swój sukces.

Nigdy nie przyszło jej do głowy, że w okolicy może powstać kolejna cukiernia. W pobliżu, kilka przecznic dalej, były dwa supermarkety. One też odbierały jej klientów. Oczywiście właściciel dużej międzynarodowej sieci, który ma miliony do zainwestowania, nie przejmie się, jeśli w początkowym okresie jego kawiarnia nie będzie przynosić zysków. Amy przystanąła. Wiedziała, że musi coś wymyślić, i to szybko.

- Kiedy Brooks planuje otwarcie? Jared wspomniał, że lokal ma być gotowy za trzy tygodnie.

- Tak, wtedy zaczynam oprowadzać potencjalnych kupców. Bill jeszcze nie widział lokalu. Może mu się nie spodoba. O czym myślisz?

- Zdaję sobie sprawę, że sytuacja jest trochę niezręczna, ale... Ale Edlers to nie tylko moja praca! To również mój dom. Tu będą dorastać moje dzieci. Nie mogę pozwolić, żeby cukiernia zbankrutowała. Wtedy zostanę z niczym.

- Kto mówi o bankructwie? Dziewczyno, masz głowę do interesów! Na pewno sobie poradzisz. Tylko patrzeć, jak potencjalną porażkę przekujesz w sukces. A teraz przestań krążyć. Uspokój się.

Dopiero kiedy Amy podeszła do okna, przyjaciółka kontynuowała:

- Posłuchaj, Brooks jest naszym nowym, bardzo ważnym klientem. Potrzebujemy takich jak on, jeśli chcemy, żeby firma Haywood-Shaw się rozwijała. Dajemy pracę setkom ludzi, stale korzystamy z dostawców i ekip budowlanych. Jared dosłownie wypruwał z siebie żyły, aby firma odniosła finansowy sukces.

- Innymi słowy, to decyzja biznesowa? Podejmując ją, kierujecie się dobrem firmy?

Lucy westchnęła i podeszła do przyjaciółki, która stała z rękami skrzyżowanymi na piersi i patrzyła przez okno. Ponad dachami domów po drugiej stronie ulicy widać było budynki na Haywood.

- Jak myślisz, dlaczego tu dziś przyszedłam?

Zacisnęła ręce na ramionach Amy i obróciła ją twarzą do siebie. Widząc łzy w oczach przyjaciółki, z trudem powstrzymała emocje.

- Proszę cię, nie płacz. Bo też się popłaczę. Chciałam, żebyś pierwsza wiedziała, zanim inni się dowiedzą.

- A co to zmienia, skoro za kilka miesięcy, parę ulic dalej, powstanie nowa kawiarnia? Wielu moich klientów mieszka na Haywood. Idąc do mnie, przechodzą obok waszego remontowanego lokalu. Nie wiem, jak mam konkurować z Billem Brooksem, jak walczyć z nim o klienta. Nie rozumiesz, Lucy? Co ze mną teraz będzie? I co z moją małą dziewczynką?

Popatrzyła na bladą jak kreda twarz Lucy, po czym wzięła głęboki oddech i uściśnęła przyjaciółkę. Lucy powinna się cieszyć własnym ślubem, a nie martwić losem cukierni.

- Przepraszam, kochanie. Nie przejmuj się mną. Dobrze, że powiedziałaś mi o waszych planach. Że nie musiałam się o nich dowiadywać podczas kolacji. - Przymknęła oczy. - Nie gniewaj się, nie pójdę na kolację. Nie jestem w nastroju, a nie chcę udawać, że się świetnie bawię. Przepróż wszystkich w moim imieniu.

- Och, Amy, nie rób mi tego! - jęknęła Lucy. - Musisz przyjść.

- Hej, głowa do góry. - Amy uśmiechnęła się. - Nic mi nie będzie. Wyśpię się, a jutro na pewno cię nie zawiodę. Cokolwiek się wydarzy, pragnę tylko jednego: żebyście z Mike'em byli najszczęśliwszymi ludźmi na ziemi.

- Jared mnie zabije.

- Nie wie, że tu jesteś?

Lucy potrząsnęła głową.

- Przewozi nasze rzeczy z hotelu do swojego mieszkania. Nawet nie wie o telefonie od Billa Brooksa. Zamierzałam mu o tym powiedzieć podczas kolacji. W myśl zasady: najpierw dobra wiadomość, potem zła.

Amy wytrzeszczyła oczy.

- Masz jeszcze złą wiadomość? No, dawaj!

Lucy spuściła wzrok.

- Spytałam ojca, czy nie poprowadziłby mnie jutro do ołtarza. Zgodził się. Czyli jutro będę szła, trzymając pod rękę tatę zamiast Jareda. - Na jej twarzy odmalował się wy-

raz przerażenia. - Teraz rozumiesz, dlaczego mi jesteś dziś potrzebna? Nie chodzi o mnie, tylko o mojego brata. Będzie zdruzgotany.

Kiedy wszedł do mieszkania, zobaczył światelko migające na sekretarce automatycznej. Wcisnął przycisk, by odsłuchać nagraną wiadomość. Cały swój bagaż przewiózł do hotelu, z hotelu do mieszkania przewiózł rzeczy Lucy; miał co najmniej godzinę na to, aby się zrelaksować i przejrzeć ostatnie wiadomości, zanim ruszy po Amy.

Mijając lustro w holu, zerknął na swoje odbicie. Zobaczył szeroko uśmiechniętą twarz. Wiedział, komu zawdzięcza ten uśmiech. Już nawet nie pamiętał, kiedy tak dobrze czuł się w towarzystwie jakiejś kobiety. Z Amy spędzi dzisiejszy wieczór, potem cały jutrzejszy dzień. Będzie dobre jedzenie, dobre wino, może zatańczą? Chciałby, żeby się dobrze bawiła; należy się jej dzień wolny od pracy.

Jedno nie ulega wątpliwości: że zakochał się we właścicielce londyńskiej cukierni. Zupełnie tego nie przewidział. Nagle stanął jak wryty. Głos nagrany na sekretarkę zmył uśmiech z jego twarzy.

- Lucy, aniołku, witaj. Mówi tata. Wpadnę do restauracji około ósmej. Gdyby ci to nie pasowało, zadzwoń. Nie mogę się doczekać, żeby was wszystkich znów ujrzeć. Pa, kochanie.

Jared opadł na kanapę, zacisnął na nosie kciuk i palec wskazujący, po chwili rozprostował rękę i uderzył nią w skórzane siedzenie. W ciągu ostatnich osiemnastu lat głos Erica słyszał ni mniej, ni więcej tylko dwa razy.

Za pierwszym razem miał czternaście lat. Dwóch krzepkich oficerów policji pakowało ojca do radiowozu. Zanim zatrzęsnęli drzwi, człowiek, którego Jared całe życie ubóstwiał, pochylił się i powiedział:

- Opiekuj się matką i siostrą. Liczę na ciebie, synu.

Na jego przeraźliwie bladej, wystraszonej twarzy malowało się napięcie i wyraz rezygnacji.

Radiowóz odjechał. Jared rzucił się za nim pędem, załzawionymi oczami wpatrując się przez szybę w tył ojcowskiej głowy. Dobiegł niemal do przecznicy, kiedy usłyszał, jak matka woła go do domu, który już do nich nie należał.

Chciał pójść na rozprawę do sądu. Nie rozumiał, dlaczego ojciec się sprzeciwił. Ojciec trafił do więzienia. Nie było żadnych widzeń. Jared pisał listy. Ani razu nie otrzymał odpowiedzi. Nie potrafił tego pojąć. Wysyłał zdjęcia i karty świąteczne. Dostawał je z powrotem w nietkniętej kopercie. Ukochany ojciec nie zadzwonił. Nie przysyłał prezentów z okazji urodzin czy świąt Bożego Narodzenia. Nie dawał znaku życia, zupełnie jakby nie dbał o żonę i dzieci. Nie interesowało go, jak sobie radzą w nowej rzeczywistości, bez domu, w którym wcześniej mieszkali, i bez drogich szkół, w których się kształcili.

To było tak, jakby z chwilą aresztowania troskliwy ojciec nagle przestał się troszczyć o swoich bliskich.

Oczywiście matka robiła, co mogła, aby dzieci nie dowiedziały się, że ojciec nie tylko opróżnił konta w banku, ale również pozaciągał długi. Ale nie zdołała ukryć prawdy przed Jaredem; zresztą wszystkie gazety się o tym rozpisywały.

Chłopiec był ciekaw, co takiego uczynił ojciec, że został oskarżony o malwersacje finansowe, i wkrótce się dowiedział. Otóż całe życie Eric Shaw nadużywał alkoholu i niemal codziennie po pracy chadzał z kolegami do kasyna. Miał długi na kwotę, jakiej nigdy nie zdołałby spłacić. Nie mówiąc nic żonie, wziął pieniądze pod zastaw domu, zlikwidował polisę ubezpieczeniową, lokaty bankowe. Nie zostało nic innego, co by mógł spieniężyć. Zaczął więc oszukiwać i okradać klientów, którzy powierzali mu swoje oszczędności.

Jared wolno wypuścił powietrze z płuc i rozejrzał się po mieszkaniu. Kupił je za gotówkę. Za pieniądze ze swojego konta. Nie brał kredytu ani pożyczki.

Apartament w Nowym Jorku był na nazwisko Lucy, podobnie jak pozostałe apartamenty w budynku, które Lucy wynajmowała bogatym najemcom. Mój mały fundusz emerytalny, mówiła ze śmiechem. Tyle że obydwójce dobrze wiedzieli, że mały to on nie był. Z kolei matka wyszła ponownie za mąż, za handlarza winem, który miał niedużą posiadłość we Francji. Nie potrzebowała, aby syn dłużej się nią zajmował.

Jared od początku przeznaczał zyski firmy na coraz to nowsze inwestycje. Wierzył, że do sukcesu dochodzi się wyteżoną pracą. Pracą i zaangażowaniem zdobywa się też klientów, którzy szukają ludzi uczciwych i godnych zaufania.

Takich klientów jak Bill Brooks z Noodles & Strudels.

Czy londyński apartament był jego domem? Czy tylko miejscem, gdzie spał? Lucy już postanowiła, że po powrocie z podróży poślubnej przenosi się na Manhattan. A wtedy co będzie z nim?

Poczuł coś w rodzaju żalu, może tęsknoty. Siostra wcale nie żartowała, mówiąc, że nie chce odkładać rodzenia dzieci na później. Woli być młodą mamą, dla której przebywanie z dziećmi jest przyjemnością, a nie udręką.

Zamyślił się. Co on, Jared Shaw, może zaoferować kobiecie? Takiej jak Amy Edler? Weekend poza miastem? Wszystko dobrze, ale Amy mieszka w Londynie, cukierki zaś jest jej pasją i jej życiem. Przecież nie rzuci wszystkiego tylko po to, by wsiąść w samolot i polecieć do Miami lub Aspen, bo on akurat ma parę dni wolnego.

Amy zasługiwała na coś więcej. Na człowieka, który może dzielić z nią swoje życie.

Przetarł ręką twarz, po czym podrapał się po głowie. Psiakość. Może Amy ma rację? Może Lucy ma prawo zaprosić kogo chce na swój ślub? Tak czy inaczej, właśnie z uwagi na siostrę, będzie musiał zaakceptować obecność ojca podczas jutrzejszych uroczystości.

Był tylko jeden problem.

Otóż drugi raz w ciągu tych osiemnastu lat rozmawiał z ojcem trzy lata temu, kiedy ten miał czelność pojawić się w jego biurze i poprosić go o pomoc w znalezieniu pracy oraz „parę groszy” na życie.

Pracy w Haywood-Shaw Jared mu nie zaproponował, lecz „parę groszy” dał.

Lucy nie wiedziała, że brat płaci ojcu, aby trzymał się od nich z daleka, aby swoją osobą nie zatruwał im życia. Teraz wszystko może się zmienić. Bo jeśli Eric, który zawsze kłamał, tym razem powie prawdę, Lucy nigdy jemu, Jaredowi, nie wybaczy.

Diabli wiedzą, czy nie popełnił największego błędu w swoim życiu.

- Amy, czy mogę przed wyjściem skorzystać z twojej łazienki? - Trixi zajrzała do sypialni. - Ładnie wyglądasz. Ojej, jaka cudna kiecka!

- Dziękuję. A z łazienki oczywiście korzystaj do woli. Słuchaj, muszę się chwilę przejść, przewietrzyć głowę. Pozamykasz wszystko?

- Jasne. Dobrze się czujesz, Amy? Masz taką zatroskaną minę. Zupełnie nie jak ty. Uśmiechnąwszy się, Amy zarzuciła na ramiona bolerko.

- Po prostu jestem zmęczona. Na szczęście ślub odbędzie się w ten weekend i od przyszłego tygodnia wszystko wróci do normy. A jakie ty i twoja mama macie plany na wieczór?

Trixi rozpromieniła się.

- Mama zaprosiła kilka koleżanek na wspólne oglądanie filmów. Spędzą u mamy noc, więc nie muszę wracać do domu. Mogę zostać u ciebie? - Podniosła do oczu ciemnoblonde kosmyki. - Hm, znudził mi się ten kolor. Chyba sobie przefarbuję włosy...

- Możesz przenocować - odparła Amy. - Przefarbować się też możesz. Rezultat obejrzę po powrocie.

W piątkowej godzinie szczytu ulice były zatłoczone, ale jej to nie przeszkadzało. Szła przed siebie, czując, jak ciepły wiatr suszy jej włosy.

Musiała wymknąć się z domu, uciec od wszystkiego, od pracy, od telefonu i niespodziewanych gości, takich jak Lucy, którzy niosą hiobowe wieści. Znała jedno ciche miejsce, gdzie o siódmej w piątkowy wieczór mogła pobyć sama; gdzie nikt jej nie znajdzie, nie zakłóci jej spokoju.

Zwolniła, upewniając się, czy idzie we właściwym kierunku, po czym przeszła między samochodami na drugą stronę ulicy i przyśpieszyła kroku. Po chwili skręciła w Haywood i ruszyła w kierunku domu, z którego nie znikła jeszcze tablica z nazwą firmy deweloperskiej Haywood-Shaw.

Może szczęście jej dopisze? Może furka będzie otwarta? A jak nie, to nie zważając na suknię od Chanel, przejdzie przez ogrodzenie. Dopiero tam, w środku, na spokojnie zastanowi się, czy chce się wybrać na kolację z rodziną Shawów.

Dwudziesty czwarty czerwiec. Siódma wieczór. Druga rocznica.

Wiedziała, że Lucy z Mike'em nie zapomnieli daty, lecz dziś Lucy miała znacznie ważniejsze sprawy na głowie. Denerwowała się, czy ojciec z bratem nie rzucają się sobie do gardeł, czy nie rozniosą w pył restauracji i nie wylądują najpierw na pogotowiu, a potem w areszcie.

Do niedawna Mike był kapitanem uniwersyteckiej drużyny dzudo. Miał nawet czarny pas. Jeśli Jared lub Eric spróbują zepsuć humor jego ukochanej, Mike może nie oprzeć się pokusie zademonstrowania im swoich umiejętności.

Gdyby policja umieściła ich w jednej celi, może do rana wszystko by obgadali i doszli do jakiegoś porozumienia? Może jutro w kościele staliby grzeczni i pokorni?

Potrząsając głową, Amy uśmiechnęła się do własnych myśli i podeszła do bocznego wejścia. Ekipa sprzątaczy spisała się na medal; placyk dla samochodów był teraz pusty i nieskazitelnie czysty. Nie walały się po nim żadne narzędzia, piły ani świdry.

Tak jak się spodziewała, furka była otwarta. Niewiele się namyślając, odciągnęła zasuwę i wolnym krokiem weszła do słonecznego ogrodu, w którym parę dni temu spędziła z Jaredem kilka bezcennych minut. Tu był jej mały prywatny raj, jej azyl.

- Co dokładnie Amy powiedziała?

- Podziękuj ode mnie Jaredowi, ale niech po mnie nie przyjeżdża... - Lucy zajrzała do swojej przepastnej torby. - Sama dotrę wieczorem do restauracji. - Popatrzyła na brata. - O co chodzi? Zrobisz ci się zmarszczki, jak będziesz się tak krzywił.

- Ta biedna dziewczyna pewnie pracuje do późna, kończąc tort!

Lucy potrząsnęła głową.

- Nie. Mówiła, że musi znaleźć jakieś spokojne miejsce i uporządkować myśli. Strasznie się zmartwiła, kiedy usłyszała, że Bill Brooks interesuje się budynkiem na Haywood. Podejrzewam, że lada moment zadzwoni z jakąś wymówką, dlaczego nie może przyjść na kolację. Wcale bym się nie zdziwiła.

Jared obrócił się twarzą do siostry.

- Powiedziałaś jej o Brooksie?

- Tak, ale wyjaśniłam, że niczego jeszcze nie podpisaaliśmy, że to była wstępna rozmowa. Przecież ona wie, czym się nasza firma zajmuje. Poza tym wolałam ją uprzedzić, niż gdyby miała o wszystkim dowiedzieć się podczas kolacji.

- Cholera jasna, Lucy! A nie mogłaś poczekać do poniedziałku? Powiedzieć jej po swoim ślubie?

- Och, przestań! Wpadłam złożyć jej życzenia i sprawa Brooksa jakoś sama wyszła. Nie zamierzałam składać żadnych oficjalnych... Co?

- Dziś są urodziny Amy? - Pokręciwszy głową, spojrział na zegarek. - Nie mogłaś mi o tym powiedzieć wczoraj?

- No tak, ty nie wiesz... - Oczy Lucy zaszyły łzami. - Prawdziwe urodziny ma we wrześniu. Ale równo dwa lata temu została postrzelona. Jared? Dokąd idziesz? Jared! Już prawie wpół do ósmej! Jared!

- Zadzwoń! - rzekł i wybiegł.

Co za dzień, pomyślała Lucy. Jak tak dalej pójdzie, Jared będzie zbyt zajęty martwieniem się o Amy, aby wściec się, kiedy do restauracji wejdzie ich ojciec i zacznie wygłaszać toast za pomyślność córki.

TLR

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Zapadał zmierzch. Amy oparła się plecami o nagrzaną słońcem ścianę i zamknęła oczy. W tym cichym zakątku pod szeroką markizą była sama, w swoim małym prywatnym świecie, niewidoczna z ulicy ani z okien sąsiednich domów.

Potrzebowała spokoju, wyciszenia. Zbyt wiele się wydarzyło w ciągu ostatniego tygodnia i jej umysł wciąż usiłował dojść ze wszystkim do ładu.

Z rozmyślań wyrwał ją hałas, skrzypienie drzwi lub furtki. Chyba ekipa sprzątająca zakończyła na dziś pracę?

Obróciła się, chcąc sprawdzić, o co chodzi, kiedy nagle jej wzrok padł na parę lśniących, czarnych butów.

Zrezygnowana oparła się z powrotem o ścianę. To było przerażające, że sama obecność Jareda potrafi wywołać w niej tak silne emocje. Co takiego ten facet w sobie ma, że czuła się przy nim jak podniecona nastolatka na pierwszej randce? Serce biło jej jak młotem, krew dudniła w skroniach...

Uśmiechając się, Jared podszedł bliżej. W eleganckim ciemnym garniturze i jasnoszarej koszuli podkreślającej błękit oczu wyglądał niesamowicie seksownie.

Patrząc na niego - jaki on jest wysoki i przystojny - miała ochotę rzucić mu się w ramiona, jeszcze raz przeżyć te cudowne chwile, poczuć dotyk jego rąk i ust, zanim ją zostawi i wróci do swojego życia tysiące kilometrów od niej.

Odwzajemniła uśmiech. Czekwała, aż Jared pierwszy się odezwie. Kiedy postąpił dwa kolejne kroki, dojrzała w jego twarzy coś jeszcze: speszzenie, zmieszanie, współczucie.

No tak, wspaniale! Lucy musiała mu powiedzieć, że dziś przypada druga rocznica jej powrotu do życia. Psiakrew!

Odruchowo uniosła dłoń do piersi, ale zamiast swoim zwyczajem przysłonić bliznę na dekolcie, przesunęła rękę wyżej i niedbałym ruchem odgarnęła włosy z czoła.

- Cześć. Nie gniewasz się, że tu przyszłam? Wprawdzie sam mi pozwoliłeś, więc... Szukasz mnie?

Biedak nie wie, jak się zachować, przemknęło jej przez myśl.

- Wystawiłaś mnie do wiatru. Nie jestem do tego przyzwyczajony.

Odwróciwszy się, sięgnęła po torebkę.

- Lucy wpadła powiedzieć mi o Billu Brooksie. - Mimo że serce biło jej niespokojnie, mimo że gniew wzbierał w jej piersi, zdołała zachować spokój. - Czy dlatego przedstawiłeś mi go na balu, Jared? Żeby dać mi przedsmak tego, co mnie czeka? Mogłeś mnie uprzedzić...

- Lucy się pośpieszyła - wszedł jej w słowo. - Zaproponowałem Billowi inny lokal przy głównej ulicy na drugim końcu miasta.

Zaskoczona przysiadła na kamiennym schodku.

- I już? Bill tak po prostu odpuścił sobie Haywood?

- Uhm. Wyjaśniłem mu, że to miejsce trzymam dla innego klienta. - Na moment zamilkł. - Ale pomysł miał niegłupi. Może faktycznie dobrze by było, gdyby powstała tu luksusowa kawiarnia, z własną piekarnią i cukiernią. Stali bywalcy wpadaliby tu w niedzielny poranek, żeby zjeść ciastko i w spokoju poczytać gazetę. Nie wiesz, kto by mógł poprowadzić taki lokal?

W sąsiednim domu ktoś otworzył okno, w powietrzu popłynęły dźwięki Chopina. Ale Amy nie słyszała muzyki. Była zbyt skupiona na kontrolowaniu swojego oddechu.

Jared usiadł obok niej na schodku i wyciągnął przed siebie nogi. Ostatnie promienie słońca oświetlały jego lewy profil.

- Co ty na to, Amy? - spytał niskim głosem, w którym pobrzmiwała nuta niepewności. Niebieskie oczy zdawały się przewiercać ją na wylot. - Nie chciałabyś tu zamieszkać? Proszę, zgódź się. Powiedz, że mi ufasz.

Że mu ufa? Że gotowa jest powierzyć mu swoje życie, swoją przyszłość? Swoje serce?

- Na piętrze znajduje się wygodne mieszkanie. Mógłbym poprosić facetów z ekipy remontowej, żeby wstawili do łazienki największą wannę, jaką tylko zechcesz.

- Ale... dlaczego ja? - wyszeptała.

W odpowiedzi ścisnął jej dłoń. Zmarszczki wokół jego oczu pogłębiły się, uśmiech rozjaśnił twarz.

- W ciągu najbliższych dwunastu miesięcy będę spędzał dużo czasu w Londynie. I z nikim nie chciałbym go spędzać bardziej niż z tobą.

Kawiarnia. Zawsze o tym marzyła. A teraz ten wspaniały mężczyzna, którego poznała zaledwie tydzień temu, chciał spełnić jej marzenie. Musiała tylko się zgodzić.

Wzięła głęboki oddech.

- A co tu będziesz robił? Myślałam, że spieszno ci do Nowego Jorku?

- Uświadomiłem sobie, że mam w Stanach znakomity zespół ludzi, którzy rwą się do samodzielnej pracy. Chcą mi pokazać, na co ich stać. A w Londynie... och, pracy też miałbym dużo. Ale jest jeszcze jeden powód, dla którego chciałbym, żebyś przyjęła moją ofertę.

- Jaki?

- Niecodziennie mam okazję spełniać czyjeś marzenia, a bardzo chciałbym spełnić twoje. Pozwolisz mi? Dopuszczysz mnie do swojego życia?

Rozejrzała się wokoło. Ogarnęło ją uczucie szczęścia. Najpierw Edlers. Teraz nowa kawiarnia. I kto wie, może zabawy w ogrodzie z adoptowanymi dziećmi...

Nagle wróciła na ziemię. Idiotka! Kogo ona oszukuje? Zasuwa od rana do wieczora, by płacić czynsz za Edlers. Przecież nie stać jej na nowy lokal, w dodatku taki piękny. Im szybciej to zaakceptuje, tym lepiej.

- Jared, bardzo bym chciała otworzyć tu kawiarnię, ale nie mam pieniędzy na prowadzenie dwóch lokali. A jałmużny nie przyjmę.

Uniósł jej dłoń do ust i delikatnie pocałował.

- W takim razie pozwól mi zainwestować w twój interes. Stworzymy razem świetny zespół.

Z jego twarzy wyczytała, że naprawdę w nią wierzy.

- Ale... wróciłbyś tu? Na tę ulicę? Do tego budynku?

- Bez zastanowienia, gdyby to oznaczało, że mogę być z tobą.

Cofnęła rękę. Jego bliskość przeszkadzała jej w myśleniu. Musiała odsunąć się, wstać.

Wstała zbyt szybko: koronkowe bolerko zaczepiło o szorstki mur, odsłaniając dekolt. Odsłaniając bliznę.

Amy jęknęła przerażona i odwróciła się, szarpiąc bolerko. Gdy pociągnęła mocniej, materiał się rozdarł. Przycisnęła dłoń do blizny. Oddychała szybko.

Jared zaniepokoił się.

- Amy? Coś cię boli? - Objął ją w pasie. - Poczekaj, pomogę ci.

- Nie. Odejdź. Nie patrz na mnie.

Nie posłuchał. Zsunął bolerko z jej ramienia i ostrożnie uwolnił koronkę. Amy natychmiast chciała je włożyć, lecz przytrzymał jej palce. Zmusiła się, by napotkać jego spojrzenie. To, co zobaczyła, sprawiło, że wszelkie wątpliwości, jakie ją dręczyły, znikły jak za dotknięciem magicznej różdżki.

W jego oczach nie było litości ani współczucia. Płonął w nich ogień. Przestała się wahać. Uniosła ich splecione ręce i przycisnęła dłoń Jareda do blizny, częściowo przykrytej cienką zieloną suknią. Jego dotyk przeniknął ją żarem.

Oczy Amy miały kolor morskiej toni w pogodny słoneczny dzień. Spojrzał w nie... i przepadł. Znalazł idealną kobietę, z którą pragnął iść przez życie, znalazł ją w miejscu, do którego nie chciał wrócić, w którym spędził osiemnaście najkoszarniejszych miesięcy swojego dzieciństwa.

Sprawy zawodowe nie miały teraz znaczenia. Liczyła się tylko ona, kobieta ze łzami w oczach. Amy Edler.

Milczał. Nie chciał burzyć nastroju, psuć magii chwili. Wiedział, co to pożądanie. Ale nie wiedział, co to miłość.

Aż do teraz. Kochał Amy.

Delikatnie przesunął dłoń do jej twarzy. Zamknąwszy oczy, uśmiechnęła się czule. Przytulił ją; stykali się biodrami, nosem pocierał jej policzek, ustami muskał jej usta. Pachniała perfumami, wanilią, przyprawą korzenną, kokosem. Upajał się jej zapachem; gdyby mógł, umieściłby go we flakoniku i zawsze nosił przy sobie.

Objęła go za szyję, gładziła po karku, odwzajemniała pieszczoty i pocałunki. Pragnął jej do szaleństwa, dlatego cofnął się i opuszką palca starł jej z policzka łzy.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś, że dziś wypada druga rocznica...?

Uśmiechnęła się smutno.

- Każdy dzień jest dla mnie nowym początkiem. Mogłam wtedy zginąć. - Oparła głowę na jego piersi.

- Niektórzy noszą swoje blizny w sercu. Tam, gdzie są niewidoczne. - Przytulił ją mocniej. - Chcę być częścią twojego życia, Amy. Stwórzmy razem kawiarenkę, o jakiej zawsze marzyłaś.

Całował jej szyję, obojczyk, dekolt. Nie brzydził się blizny, zupełnie jej nie dostrzegając. Rozpierała ją radość.

- Mam pomysł - powiedział niskim głosem.

- Mm?

- Zrobmy sobie własne święto, własną uroczystość. Tylko ty i ja. Lucy zrozumie.

Zamknęła oczy. Zgodnie ze wskazaniem lekarzy, starała się kontrolować oddech.

Kusił ją. Och, jak bardzo chciała mu ulec!

- Chyba oszalałeś - powiedziała, chichocząc. - Lucy nigdy by nam nie wybaczyła! Ale może... może po kolacji mógłbyś mnie odprowadzić do domu?

- Z przyjemnością. Myślisz, że zauważą, gdybyśmy się wymknęli przed deserem?

- Co nam szkodzi spróbować? Ale nie mogę zawalić nocy. Budzik mam nastawiony na czwartą rano.

Uśmiechnął się szeroko.

- Jakoś sobie poradzimy.

- O Chryste! - Nagle Amy coś sobie uświadomiła. - Całkiem zapomniałam! Trixi u mnie nocuje. Wkrótce skończy osiemnaście lat, ale obiecałam jej mamie, że będę ją miała na oku. Przykro mi, Jared. Zostaje nam weekend...

Mężczyzna, z którym tak bardzo chciała się kochać, cofnął się. Odsunął się fizycznie, zamknął emocjonalnie.

- Powinniśmy porozmawiać o twoim zamiarze adopcji... - zaczął i urwał.

Musiała o to spytać. I bała się tego, co usłyszy.

- Nie chcesz mieć dzieci, tak? - Wstrzymała oddech.

Pokręciwszy głową, przytknął czoło do jej czoła.

- Nie chcę, skarbie. Ani własnych, ani tym bardziej cudzych. Nigdy nie chciałem. Pragnę wyłącznie ciebie. Możesz to zrozumieć?

Zacisnęła powieki, usiłując powstrzymać łzy.

- Ja ciebie też pragnę. Straciłam nadzieję, że jeszcze kogokolwiek pokocham. Ale marzę o dzieciach, Jared. Byłbyś wspaniałym ojcem.

Wyprostował plecy i cofnął się odrobinę.

- Na razie nie mówmy o tym - dodała pośpiesznie. - Ciesz się rodziną. Tym, że nareszcie jesteście razem.

Nie puszczając jej dłoni, usiadł na ogrzonym przez słońce schodku.

- Rodziną? Masz na myśli Lucy i Mike'a? Moją matkę i jej nowego męża? Czy może mojego ojca?

- Twoja siostra mu wybaczyła. Podziwiam ją za to.

Przeczesał ręką włosy.

- Ja też. Podobno miłość jest bezwarunkowa. Kiedyś Lucy kochała ojca.

- A ty nie?

- Uwielbiałem go. Chciałem być taki jak on. Ale gorzko się na nim zawiodłem. Nie rozumiem, jak można tak postąpić wobec własnych dzieci. Nigdy mu nie wybaczę. - W jego głosie pobrzmiwały ból i gorycz.

- Nie mów tak!

- Ale to prawda.

- Spotkaj się z nim, porozmawiaj. Jeśli chcesz, mogę ci pomóc - zaoferowała.

- Nie, dziękuję.

Miała wrażenie, jakby temperatura powietrza nagle się obniżyła, jakby pomiędzy nią a Jareda wdarł się przejmujący chłód. A jeszcze niedawno płonęła!

Cofnęła się i skrzyżowała ręce na piersi.

- Lucy potrzebuje was obu - powiedziała cicho.

- Potrzebuje mnie, nie jego!

Przez moment milczała.

- Wiesz, musiało minąć dziesięć lat, zanim wybaczyłam rodzicom, że zginęli w tym głupim wypadku samochodowym. Że uczynili mnie sierotą. Twój żyją, kochają cię.

Dla mnie to byłby powód do radości. - Popatrzyła mu głęboko w oczy i postanowiła wyznać prawdę. - Łamiesz mi serce, Jared. Czy to źle, że pragnę rodziny? Że chcę dać dziecku kochający dom? - Wzięła głęboki oddech. - Nie bój się, nie zepsuję jutrzejszej uroczystości. Ze względu na Lucy będę się uśmiechać. Ale jeśli chodzi o nas... Mieszkaś w Ameryce, ja w Londynie. I nie chcę rezygnować ze swoich marzeń. Jeśli ci na mnie zależy, pozwól mi odejść.

Ponieważ mu na niej istotnie zależało, nie pobiegł za nią, gdy ruszyła do wyjścia.

TLR

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Szła chodnikiem w ulubionych zielonych butach, nigdzie się nie spiesząc, kiedy nagle w jej myśli wdarło się irytujące bzyczenie. Telefon komórkowy! Pewnie dzwoni Lucy, żeby się upewnić, czy zna dokładny adres. Bo Jared chyba by nie próbował się z nią kontaktować? Serce zabiło jej szybciej.

Uspokój się, nakazała sobie. Po prostu odbierz.

Odsunąwszy klapkę, spojrzała na ekranik. Trixi? Dziwne...

- To ty, Trixi? Dobrze się...

Na drugim końcu linii usłyszała histeryczny szloch. Usiłując nabrać powietrza, Trixi wyrzuciła z siebie potok słów, z których Amy żadnego nie zrozumiała.

- Kochanie, uspokój się. Powiedz, co się stało. Gdzie jesteś?

- Mo... moja mama. Upadła. Karetka już jest w drodze. Wróc, Amy. Proszę, potrzebuję cię.

O jedenastej, ślaniając się ze zmęczenia, Amy przekręciła klucz w zamku.

Matka Trixi była mocno poobijana, ale na szczęście niczego sobie nie złamała. Zbadawszy ranę, ratownicy uznali, że nie trzeba jej wieźć do szpitala.

Był to emocjonalnie wyczerpujący dzień. Amy marzyła tylko o tym, by doczłapać do łóżka i zasnąć kamiennym snem. Kiedy jednak nacisnęła kłamekę, usłyszała dziwny szum. Zapaliła światło w kuchni.

Na kamienną posadzkę lała się z sufitu woda. W wodzie pływały fragmenty tynku. Zgasiwszy światło, Amy chwyciła latarkę i skierowała się do mieszkania na piętrze.

Krzyknęła przerażona. Widok na piętrze był jeszcze gorszy niż na dole. Brodząc w wodzie po kostki, weszła do łazienki. W kabinie prysznicowej tryskały dwa potężne strumienie. Woda nie spływała, bo odpływ w brodziku zatkany był ręcznikiem. Na podłodze leżały kosmetyki, ubranie, pudełko po farbie do włosów.

Amy zamknęła oczy, zdławiła frustrację i gniew. Trixi pewnie splukiwała farbę, kiedy odebrała telefon od matki. Wybiegła w panice, zapominając o zakręceniu kranów.

Głos rozsądku mówił jej, by odciąła dopływ wody i wyłączyła korki. Drugi wołał, by wezwała hydraulika.

Tylko jeden człowiek mógł jej pomóc. Ten, który całował najlepiej na świecie. Ten, który opiekował się matką, dopóki ta nie wyjechała do Francji. Ten, który opiekował się siostrą, lecz nie będzie jej jutro prowadził do ołtarza, bo uczyni to ich ojciec. Ten, którego ona, Amy, odtrąciła.

Ze ściany odkleił się ceramiczny kafelek i upadł z pluskiem na podłogę.

Nie zastanawiając się dłużej, Amy poświeciła latarką do torebki i wyciągnęła komórkę.

Odbierz, Jared, błagała go w myślach.

- Amy? - rozległo się po chwili.

- Potrzebuję twojej pomocy. Błagam!

Kilka razy przekraczał dozwoloną prędkość. Dojechawszy na miejsce, zaparkował samochód tak, by światło reflektorów padało na okna kuchenne.

- Amy? Jesteś tam? - zawołał.

Po chwili dojrzał blask latarki.

- Tak. Uważaj, bo ślisko. Musiałam wyłączyć elektryczność.

W gumowych kaloszach, czapce z daszkiem i żółtej fluorescencyjnej kurtce zarzuconej na zieloną sukienkę była najpiękniejszą istotą, jaką kiedykolwiek widział.

Porwał ją w ramiona, przywarł ustami do jej warg.

- Nic ci nie jest?

- Nie. Czego niestety nie mogę powiedzieć o podłodze w mojej sypialni.

Przytulił ją jeszcze mocniej.

- Nawet nie wiesz, jak się wystraszyłem. Nigdy więcej mi tego nie rób. Kocham cię! - Otarł palcem łzy z jej twarzy i pocałunkiem wyraził to wszystko, czego nie potrafił słowami. - Całe życie czekałem, aby powiedzieć ukochanej kobiecie te słowa, ale nie sądziłem, że będę je wypowiadał w zalanej kuchni. Boże, Amy, kocham cię do szaleństwa!

- Bałam się, że nie przyjdiesz. Boże, byłam taką idiotką! Wybaczysz mi?

- Pewnie. A ekipa porządkowa już jest w drodze, razem z nowym hydraulikiem. Jest trochę starszy od pozostałych chłopaków, ale postanowiłem wziąć go na próbę. - Poglądził ją po policzku. - Naszym dzieciom przyda się dziadek.

- Och, Jared! Mówisz poważnie? Nawet nie wiesz, jak cię kocham!

Stali objęci, całując się na środku zalanej kuchni, kiedy pod dom zajechało kilka wozów. Słysząc było głosy męskie i żeńskie.

- Kawaleria z odsieczą - oznajmił Jared.

- Hej, gołąbeczki, przestańcie się całować! - Amy, chyba w tym stroju nie przyjdiesz na mój ślub?

- Hm, w tym świetle kalosze nawet pasują kolorystycznie do sukni od Chanel. Mogę pstryknąć zdjęcie? Będzie w sam raz do albumu ślubnego.

- Świetny pomysł, Bello! Zamawiam odbitki.

- Amy, a gdzie mój tort?

Zanim Amy zdążyła odpowiedzieć, na zewnątrz rozległy się kolejne głosy, a po chwili trzech obcych mężczyzn wbiegło do środka z zapasowym światłem.

- Jared... - Podniosła wzrok na ukochanego. - Myślisz, że mój biznes da się uratować?

- Jasne. Dla nas, dla ciebie i mnie, nie ma rzeczy niemożliwych. A na razie niedaleko stąd, na Haywood, czeka pusty lokal.

- A co z twoją firmą? Z Nowym Jorkiem?

- Lucy z Mike'em zgodzili się przejąć tamtą część interesu. A Nell Waters zaproponowała mi nową pracę. W Londynie. Pięć minut spacerkiem od Edlers i kobiety, którą kocham. Czy mogłem odmówić?

EPILOG

Biorąc głęboki oddech, Amy zerknęła na Elspeth, która po raz trzeci w ciągu piętnastu minut sprawdziła, czy diadem z małych żółtych różyczek nie zsunie się z włosów druhny.

Miała na sobie długą popielatą suknię oraz ozdobiony haftem szyfonowy żakiet, który zasłaniał sińce na ramionach. Sińce nabyła wczoraj podczas noszenia skrzyń pełnych cennego dobytku. Cztery razy jeździli z rzeczami między Edlers a apartamentem Jareda, ale warto było. Wielki piętrowy tort, który godzinę temu dostarczyła do hotelu, wzbudził powszechny zachwyt.

Pod kościół zajechał przybrany białymi wstążkami piękny rolls-royce z Frankiem za kierownicą.

Panna młoda wyglądała olśniewająco. Popatrzyła przez ramię na Amy, po czym z promiennym uśmiechem wzięła pod rękę przystojnego eleganckiego pana w średnim wieku. Rozdzwoniły się kościelne dzwony, popłynęły pierwsze takty marsza weselnego.

Kościół był szczelnie wypełniony rodziną i przyjaciółmi. Po chwili oczom zebranych ukazała się Lucy z ojcem, którzy wąską nawą ruszyli do ołtarza.

Przez witrażowe okna wpadały jasne promienie słońca, oświetlając kremowe lilie i żółte róże zdobiące ławy. Zapach kwiatów unosił się w powietrzu.

Amy szła za Lucy i Erikiem Shawem, wpatrując się w wysokiego mężczyznę, który stał obok Ethana, po prawej ręce Mike'a. Jego spojrzenie mówiło jej, że jest piękna.

Z każdym krokiem była coraz bliżej człowieka, którego kochała. I który ją kochał.

Spośród wszystkich kobiet na świecie wybrał właśnie ją. Wciąż nie mogła w to uwierzyć.

